

JÓZEF KORZENIOWSKI.

BIBLIOTEKA

Józef Korzeniowski.



ŻYDZI

komedya w 4. aktach.



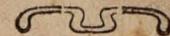
Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.

JÓZEF KORZENIOWSKI.

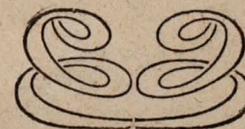


ŻYDZI.

KOMEDYA W 4 AKTACH.

Kiedy o stół uderzają, nie bierz
siebie za nożyce i nie odzywaj się.

Anonim.



LWÓW — ZŁOCZÓW

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

dar 40
FUNDACJA



POGRANICZE

1938 KANCELARIA

Józef Korzeniowski, który słynie w literaturze jako autor znakomitych powieści i dramatów, urodził się w mieście Brodach w Galicyi 19. marca 1797 r. Do szkół chodził w Zbarażu, w Czerniowcach, w Krzemieńcu. Przeniósłszy się do Warszawy 1818 r., powołany został 1823 r. na profesora do Krzemieńca. Później był profesorem uniwersytetu kijowskiego, a potem dyrektorem gimnazjum w Charkowie. Powrócił do Warszawy 1846 r., gdzie został mianowany wizytatorem szkół, później dyrektorem Wydziału oświecenia.

Korzeniowski wybrawszy się dla poratowania nadwątlonego zdrowia do wód zagranicznych, umarł w Dreźnie 17. września 1863 r.

Redakcja „Bibl. Powsz.“

OSOBY:

HRABIA PONICKI.
HRABINA, jego żona.
PANI SZENIONOWA, jego siostra.
KSIEŻNICZKA ZOFIA, siostrzenica i pupilka hrabiego.
PAZURKIEWICZ, komisarz hrabiego.
KOMORNIK STAROŚWIĘCKI.
KOMORNIKOWA, żona komornika.
ANTONI STAROŚWIĘCKI, ich syn.
PREZES ZADZIRNOWSKI.
RUBELKOWSKI, jego kasyer.
BARTOSZEWSKI }
BRZYDKIEWICZ } szlachta.
BARON IZAJEWICZ.
ARON LEWE, starozakonny.
SZMUL, jego buchalter.
MONSIE-HERSZ.
GOLDBERG, księgarz przyjezdny.

Służba hrabiego. — Służba prezesa. — Lokaj pani Szenionowej. —
Goście hrabiego. — Kilku przechodzących ulicą. — Żydzi przekupnie.

Scena w okolicach Berdyczewa i w samym Berdyczewie.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Pokój pana komornika we wsi Byszówce. **Komornik** chodzi po pokoju smutny. **Pani Komornikowa** siedzi z boku i płacze.

Komornik staje przed nią. Czegoż asani tak płaczesz?

Komornikowa. Zmiłuj się, kochanku! myśmy zgubieni bez ratunku.

Komornik. Zgubionym jest, moja dziewczeczko, tylko ten, kto się sam gubi podłością. Kogo Bóg dotknie, tego Bóg i pocieszy. A kiedy pokój tu, to choć tu pustki, trzymaj asani głowę do góry i nie bój się nikogo.

Komornikowa. Stodoły, kochaneczku, wozownia, stajnia, obory, śpichlerz — wszystko z dymem poszło! Najświętsza Panno! ratuj nas!

Komornik. I bądź asani pewna, że poratuje.

Komornikowa. A wszystko to, kochaneczku, cudze. Wszystko trzeba odbudować lub zapłacić. A rata za posesyę! — O my nieszczęśliwi!

Komornik. Doprawdy, moja Basiu, przywodziś mię asani do niecierpliwości. Na co te lamentacye? Czy to mnie pocieszy, że nie widzę w tobie ducha i siły powitać biedę tak, jak ją witać należy, gdy z dopuszczenia Bożego przychodzi? Chcesz się asani wyplakać, to pójdz sobie w kąć i wypłacz się porządnie. A mnie nie mów, cośmy stracili, bo ja to wiem lepiej.

Komornikowa. Daruj mi, kochaneczku! Nie chciałam cię rozgniewać. Ty masz za swoje i tak. Będę się krzepić, jak zdołam.

Komornik głaszcze ją pod brodę. Otóż to rozumnie. Lat dwadzieścia pięć z górą przeżyliśmy z sobą; byliśmy już na wozie i pod wozem; wiodło się i urywało. Służyło się lat kilkanaście różnym panom; byli źli i dobrzy. Jeden skrzywdził człowieka jak żyd, drugi nagroził pocziwą pracę, jak pan z panów.

Komornikowa. O! takich już teraz niema.

Komornik. Nieprawda, moja dziewczeczko! są, ale ich mniej. Wreszcie, choćby ich nie było, cóż stąd? — Bóg pomocny i opatrzny, zawsze jeden i ten sam; ani Go przybyło, ani ubyło. Spomógł nas wtenczas, gdy nas skrzywdzili ludzie; pomoże i teraz, gdy nam los nie dopisał. Pamiętasz asani, moja dziewczeczko, lat temu piętnaście, jak zacząłem chodzić po posesyach, a asani nie pozwoliłaś poruszyć kapitału, któryśmy mieli od nieboszczyka podczaszego? z czegoż zacząłem? —

Z pięciu tysięcy. A dziś, Bogu dzięki, płacę ośmnaście, a i kapitał cały.

Komornikowa. Przyjdzie go teraz stracić, kochaneczku, na te budynki, co zgorzały. — A biedny Antoś!

Komornik. Moja dobrodziejko! Asani, widzę, wszystko swoje. — Antoś ma lat dwadzieścia cztery; chłopak nie głupi, czynny, znajdzie kawałek chleba, gdy go u rodziców niestanie. Trochęc on, prawda, poeta; ale cóż robić? I takim Pan Bóg pomaga, gdy zupełnie rozumu nie traca. Wiesz asani co, moja dziewczeczko? pójdz tam sobie do swego pokoju, uklęknij przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i pomódl się na intencję Antosia; a bądź pewna, że Pani Jasnej Góry ześle ci uspokojenie i pociechę.

Komornikowa wstaje. Czy już wszystko pogasili, kochaneczku?

Komornik. Już, już, nie bój się. Przecież nie byłbym tu, gdyby jeszcze było jakie niebezpieczeństwo. No, idź asani, idź!

Komornikowa odchodząc. Gdzie ja teraz moje biedne krówki przytulę?

Komornik. Dziękuj Bogu, że się dom nie spalił, że sama masz się gdzie przytulić i twój pan Antoni — bo o sobie już nie mówię.

Komornikowa. Ach! kochaneczku! kochaneczku! co też ty gadasz?

Komornik całuje ją w głowę. Na kolana, na kolana, moja Basiu! Komornikowa wychodzi.

Komornik sam. Krzepiłem się jak mogłem; ale Bóg widzi, że będzie ciężko wybrnąć z tej biedy. Ha! cóż począć? Głową muru nie przebijesz. Piło się długo słodki miodek, trzeba w życiu i piołunu skosztować. Wchodzi Antoni Staroświecki. A cóż, synu?

Antoni Starośw. Już wszystko pogaszone — jeszcze tylko gdzie niegdzie głównie się kurzą.

Komornik. A nie spiekłeś się waść, lub nie skaleczył? boś siebie nie żałował.

Antoni Starośw. Czyż to nie było moją powinnością oszczędzić tobie, ojcze, cokolwiek kłopotu, matce cokolwiek łez? O! ta sama myśl będzie skutecznym balsamem na ramię, które mi upadająca belka cokolwiek przygniotła.

Komornik. Jezus! Marya! może złamała?

Antoni Starośw. Nie, nie, mój ojcze! maleńka kontuzya. — Proszę nic nie wspominać mamie.

Komornik. A no, porusz waść ręką — śmielej! Jeszczeby mi tego nieszczęścia brakowało!

Antoni Starośw. porusza ręką. Nic, nic, jak ojca kocham — cokolwiek bólu. Z tydzień może nie będę mógł pisać.

Komornik. Mniejsza tam o to — za to będziesz więcej myślał.

Antoni Starośw. O czymże teraz mam myśleć, jak nie o twojej stracie, mój ojcze?

Komornik. Prawda, mój synu, jest o czem pomyśleć. Strata nasza wielka. Cała nadzieja do-
chodu poszła z dymem; budynków zgorzało pra-
wie na sześć tysięcy — a nie mam pod ręką
tylko dwa. Jeśli hrabia nie będzie litościwym
i szlachetnym...

Antoni Starośw. Mój ojcie! mój ojcie! łzy mi
w oczach stają, gdy pomyślę, że ty, z twojem
sercem, będziesz się musiał kłaniać temu czło-
wiekowi. Ja go znam dostatecznie.

Komornik. Słuchaj-no waść, panie synu! nie
lubię tego, że wy z waszym młodym rozumem
chcecie patrzeć przez głowy starszych. On pan
z panów; ja takich przywykłem z młodych lat
poważać, i nie powstydzę się ukłonić człowiekowi,
którego przodkowie mieli zasługi w kraju i wspa-
niałą ręką wspierali gołych ojców naszych. Skądże
dziś tylu panów, co drą nosy do góry, ekonomów
nazywają złodziejami, zapomniawszy o tem, że
ich ojcowie urodzili się i wyrosli na folwarku?
Starzy-to panowie obdarzali ich i bogacili, nie
kto inny, panie synu!

Antoni Starośw. Stare to dzieje, mój ojcie!

Komornik. Stara prawda jest, jak stare wino,
mój mości poeto! Im więcej ma lat, tem lepsza
i kosztowniejsza. Wystaw waść wasze terazniejsze
winka na próbę czasu, a za kilkanaście miesięcy
będziesz miał ocet. Tak będzie i z waszymi
nowomodnymi konceptami.

Antoni Starośw. O starych prawdach — zgoda.
Ale co się tyczy starych panów, na nieszczęście,
wiele, mój ojcie, i coraz więcej pokazuje się
wyjątków.

Komornik. Milcz waść. — Nie lubię tego,
mówiłem.

Antoni Starośw. Daj Boże, abys się nie zawiódł,
mój ojcie! Każda wiara jest pociechą i podporą
cierpiącego. Ale przypadek dał ci do czynienia
z człowiekiem, który podobno tę wiarę mocno za-
chwieje. Rad nierad, muszę cię ostrzedz, abys nie
miał żadnej nadziei w jego ludzkości.

Komornik. Obaczmy, obaczmy. Nie strasz
tylko waść matki. Jeśli twoja prawda i hrabia
mię przyciśnie — ha! coż robić? odbiorę kapitał
od prezesa i zapłacę — bo dwa razy się nie
ukłonię, tego możesz być pewnym.

Antoni Starośw. całuje jego rękę. Tegom aż nadto
pewny, mój ojcie! — Ale to mię boli, że raz jeden
będziesz musiał się ukłonić — i to napróżno.
Lepiejby zapewne nie próbować, nie poniżać się,
zapłacić od razu. — Ale gdy odbierzesz ostatni
zapas starych lat twoich, cóż potem będzie?

Komornik. Pójdę służyć, jakem służył za młodu.
Nie to mię martwi. Ale ty, ty, mój chłopcze!

Antoni Starośw. Jakto? o mnie myślisz, mój
ojcie? — Grzech, grzech, żeby człowiek stary
i doświadczony, żeby ojciec tak nie znał swojego
dziecka! Na to-żeś mi dał wychowanie? na to-żeś

karmił mię tym kęsem, któryś sobie od ust odejmował? odziewał mię suknem, a sam chodził w płóciennej kapocie, gdym się uczył, abym wyhodowany i wyuczony był ei ciężarem? Nie krzywdź mię tak, mój ojcze! — Mnie stanie sił i serca kłaść się o północy, wstawać ze świtem i oddawać ci szczyptą to, com brał od ciebie garściami. O mnie nie myśl, mój ojcze! Teraz na mnie kolej, teraz mój obowiązek myśleć o tobie.

Komornik. Żartuję sobie ze wszystkich pożarów i nieludzkich panów, gdy mi Bóg dał taką pociechę. Chodź tu do mnie, mój chłopcze! Ściskają się. Antoni Staroświecki po chwili przyklęka i obejmuje kolana ojca. Niech cię Bóg błogosławi i utrzymuje. Miłość pracy i uczciwość, wiara w Boga i dobrych ludzi, oto puścizna, którą ci zostawiam i leguję. Więcej, Bóg mi świadkiem, i sam od ojca mego nie wziąłem.

Antoni Starośw. powstawszy. I więcej mi nie potrzeba. Dzień dzisiejszy nie będzie dla mnie straconym. Są zdarzenia, co jak gwiazdy ukazują drogę płynącym po morzu życia. Albo ludzie sprzysięgną się, żeby mi się nie udało, albo starość twoja i matki będzie spokojna i cicha. — Ale gdzież ona?

Komornik. Modli się. Ona potrzebuje pociechy. Idź, idź do niej, mój chłopcze! a ja obrachuję swoje szkody, któreś mi o połowę zmniejszył.

Rozchodzą się.

SCENA II.

Sala w pałacu hrabiego Ponickiego na wsi. Wchodzi **Hrabia**, w surducie, w słomianym kapeluszu, z fajką w ręku. Za nim pan **Pazurkiewicz**, jego komisarz.

Hrabia. I cóż tedy, panie Pazurkiewicz?

Pazurk. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia kładąc kapelusz i cybuch. Od kiedy asan jesteś u mnie komisarzem, zawsze zaczynasz od tego, że wszystko dobrze, a kończysz nie wiedzieć czem.

Pazurk. Nic bez tego, jaśnie wielmożny panie! — Gdzie zyski, tam muszą być i straty, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A teraz z czymże asan przyszedłeś?

Pazurk. Gniady ogier zdechł, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Jaktó? Lord?

Pazurk. Lord, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A niechże asana dyabli wezmą z takimi wiadomościami! — Byłże chory? leczyłeś go asan? donosiłeś mi, że chory? Byłbym użył wszelkich środków — a teraz cóż zrobisz?

Pazurk. A cóż, j. wielmożny panie? — zdechł.

Hrabia. Wieszże asan o tem, żem go już sprzedał za trzysta czerwonych złotych memu szwagrowi, i sto pięćdziesiąt wziąłem?

Pazurk. Gdybym był wiedział, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. To byłby nie zdechl? Co?

Pazurk. Byłby zdechl u szwagra jaśnie wielmożnego pana: bobym go był odesłał, jak tylko zasłał.

Hrabia. Dyabli mi nadali nie powiedzieć tego asanu wcześniej.

Pazurk. Nie moja wina, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Wiem o tem, żeś asan nigdy niczemu nie winien.

Pazurk. Właściwie mówiąc, tego konia kupił jeszcze nieboszczyk ojciec jaśnie wielmożnego pana, dwadzieścia lat temu. Jaśnie wielmożny podskarbi dał za niego tylko dwieście dukatów.

Hrabia. I cóż stąd? Właśnie teraz był w takiej porze, że go można było wyśmienicie sprzedać szwagrowi za trzysta. A asaństwo waszem nie-dbalstwem pozbawiliście mnie takiej sprzedaży. To to i nieszczęście nasze, że nie możemy dopatrzeć sami. U asana konie pewnie nie zdychają.

Pazurk. kłaniając się. Nie, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia siada. Dlatego, że asan nie masz koniuszego, ekonomów, a nadewszystko komisarza. Radby człowiek być uczciwym, ale przez was, dalibóg, niepodobna. — Jakże się teraz uiszcę panu Ignacemu? Nu, mówże asan!

Pazurk. Jaśnie wielmożny pan widział mojego gniadego ogierka? raz go nawet jaśnie wielmożny pan wziął za Lorda, tak podobny, tylko młodszy.

Hrabia. I cóż stąd?

Pazurk. Jeśli się jaśnie wielmożnemu panu zdawać będzie, to można jaśnie wielmożnemu Gubernskiemu odesłać mojego. On niewielki znawca.

Hrabia. A jeśli się wyda szachrajstwo?

Pazurk. Ja to biorę na siebie, jaśnie wielmożny panie! — tylko...

Hrabia. Tylko trzeba u asana tego konia kupić?

Pazurk. Jaśnie wielmożny pan da mi skrypcik na dwieście czerwonych złotych.

Hrabia. Nie mówiłeś mi sam, żeś dał za niego pięćdziesiąt dukatów?

Pazurk. Gotowizną wezmę mniej, jaśnie wielmożny panie! Skrypt, to ryzyko. Jaśnie wielmożny pan zna stan swoich interesów.

Hrabia. O! znam, znam! Doprowadziliście mnie do pięknego stanu.

Pazurk. Właściwie mówiąc... nie my...

Hrabia. No, niech asana dyabli wezmą — napisz sobie skrypt na dwieście dukatów i odprowadzaj konia.

Pazurk. Dobrze, jaśnie wielmożny panie! Kłania się, jakby chciał odchodzić, potem wydobywa papiery.

Hrabia. Cóż tam jeszcze?

Pazurk. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie. — Tylko Suplicki pisze ze Skwiry, że długi

pana Chorążego przewyższają jego majątek o sto trzydzieści tysięcy, i odseła nasze skrypta dla pomieszczenia między papiery niepotrzebne.

Hrabia. Otóż-to u nas kredyt! — zapłaćże tu swoje długi; uiszczaj się w słowie, kiedy twoi dłużnicy bankrutują! — Ojciec zbierał, kradł póki był ekonomem; ciemnił cudzych poddanych, póki był posesorem; oszczędzał, gdy się dochrapał dziedzictwa, a pan syn zachorował na wielkiego pana i zmarnował wszystko. Potrzeba mu było durniowi jeździć za granicę, sprowadzać karety z Wiednia i stroić swojego koczkodana żonę, aby laźła między nas i kaleczyła nam uszy niegodziwą francuzczyzną. — Odsyłaj to asan natychmiast Suplickiemu, niech mu zatraduje Myszkowce.

Pazurk. Myszkowce, jaśnie wielmożny panie, założone w banku co do jednej duszy.

Hrabia. Jakto? a cóż będzie!

Pazurk. Przepadło, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Bodajżeś asan przepadł sam z swoją zimną krwią, kiedy mnie dyabli biorą.

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, tego się należało spodziewać. Jaśnie wielmożny pan chyba zapomniał, że Myszkowce już były założone wtenczas, gdyśmy ulokowali u chorążego sto tysięcy księżniczki Zofii, pupilki jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia niby roztargniony. Co? co?

Pazurk. A tak, jaśnie wielmożny panie! — Dlatego to pan chorąży, wzięwszy tylko dwadzieścia pięć tysięcy, był tak łaskaw, że dał skrypt na sto. A siedmdziesiąt pięć tysięcy, jak jaśnie wielmożnemu panu wiadomo...

Hrabia wstając. A jak też wydaje żyto, panie Pazurkiewicz? Czyś asan już kazał robić próbę?

Pazurk. Miernie, jaśnie wielmożny panie, bardzo miernie! — Trzy ćwierci z kopy.

Hrabia. Otóż to wasze gospodarstwo! U innych wydaje pięć ćwierci, a u mnie zawsze półkorcem mniej. Takie-to dopilnowanie przy siewie, taki dozór przy wymłóceniu! Przytem może jeszcze... kto was tam wie. Miejże się tu dobrze z takimi ofycyalistami! Służą nie wiedzieć jak, a jak przejdzie lat dziesięć lub piętnaście, przychodzi jeden i drugi, kłania się nisko: Jaśnie wielmożny panie! sił niema! proszę o łaskawy chleb. A daj mu gracyę, to ci potem siedzi na karku i żyje matuzalowe lata. Idź asan sobie z Bogiem, bo mi tylko krew psujesz. Bierze kapelusz i fajkę. Pazurkiewicz kłania się, usuwa się — potem wraca. Czy jeszcze co?

Pazurk. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A nudzisz mię asan do dyabła!

Pazurk. Cóż robić, jaśnie wielmożny panie? — interesa. Termin wypłat blizki; przedaży niema.

pana Chorążego przewyższają jego majątek o sto trzydzieści tysięcy, i odseła nasze skrypta dla pomieszczenia między papiery niepotrzebne.

Hrabia. Otóż-to u nas kredyt! — zapłaćże tu swoje długi; uiszczaj się w słowie, kiedy twoi dłużnicy bankrutują! — Ojciec zbierał, kradł póki był ekonomem; ciemniżył cudzych poddanych, póki był posesorem; oszczędzał, gdy się dochrapał dziedzictwa, a pan syn zachorował na wielkiego pana i zmarnował wszystko. Potrzeba mu było durniowi jeździć za granicę, sprowadzać karety z Wiednia i stroić swojego koczkodana żonę, aby laźła między nas i kaleczyła nam uszy niegodziwą francuzczyzną. — Odsyłaj to asan natychmiast Suplickiemu, niech mu zatraduje Myszkowce.

Pazurk. Myszkowce, jaśnie wielmożny panie, założone w banku co do jednej duszy.

Hrabia. Jakto? a cóż będzie!

Pazurk. Przepadło, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Bodajżeś asan przepadł sam z swoją zimną krwią, kiedy mnie dyabli biorą.

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, tego się należało spodziewać. Jaśnie wielmożny pan chyba zapomniał, że Myszkowce już były założone wtenczas, gdyśmy ulokowali u chorążego sto tysięcy księżniczki Zofii, pupilki jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia niby roztargniony. Co? co?

Pazurk. A tak, jaśnie wielmożny panie! — Dlatego to pan chorąży, wzięwszy tylko dwadzieścia pięć tysięcy, był tak łaskaw, że dał skrypt na sto. A siedmdziesiąt pięć tysięcy, jak jaśnie wielmożnemu panu wiadomo...

Hrabia wstając. A jak też wydaje żyto, panie Pazurkiewicz? Czyś asan już kazał robić próbę?

Pazurk. Miernie, jaśnie wielmożny panie, bardzo miernie! — Trzy ćwierci z kopy.

Hrabia. Otóż to wasze gospodarstwo! U innych wydaje pięć ćwierci, a u mnie zawsze półkorcem mniej. Takie-to dopilnowanie przy siewie, taki dozór przy wymłóceniu! Przytem może jeszcze... kto was tam wie. Miejże się tu dobrze z takimi oficyalistami! Służą nie wiedzieć jak, a jak przejdzie lat dziesięć lub piętnaście, przychodzi jeden i drugi, kłania się nisko: Jaśnie wielmożny panie! sił niema! proszę o łaskawy chleb. A daj mu gracyę, to ci potem siedzi na karku i żyje matuzalowe lata. Idź asan sobie z Bogiem, bo mi tylko krew psujesz. Bierze kapelusz i fajkę. Pazurkiewicz kłania się, usuwa się — potem wraca. Czy jeszcze co?

Pazurk. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. A nudzisz mię asan do dyabła!

Pazurk. Cóż robić, jaśnie wielmożny panie? — interesa. Termin wypłat blizki; przedaży niema.

Gotówki potrzeba będzie i na jarmark — a kredyt, jasnie wielmożny panie, na włosku.

Hrabia. Cóż zrobię? zastawieź swój klejnot szlachecki i koronę hrabiowską? Starać się, żeby było, i basta!

Pazurk. Jasnie wielmożny panie, Aron Lewe na tym klejnocie się nie zna. On otaksuje tylko pergamin i krwawnik na pieczętce, pogładzi białą brodę, położy rękę na biblii i powie: dam szesnaście karbowanych; a nam potrzeba plus minus 16 tysięcy rub. srebr.

Hrabia rzuca na stół kapelusz i fajkę. Kara Boska! Przechadza się.

Pazurk. Została jeszcze Jabłonówka jasnie wielmożnej hrabiny niezalóżona. Dusz sto pięćdziesiąt, grunta dobre, las i woda. Niech jasnie wielmożny pan skłoni jasnie wielmożną hrabinę, aby dała nam plenipotencję do założenia tej wsi, a może się Aron namówi dać ze sto tysięcy.

Hrabia. Pogadam z żoną — a asan jedź do tego przeklętego żyda. Może i tak da z pięćdziesiąt tysięcy na mój rewers.

Pazurk. Właściwie mówiąc, daremnie, jasnie wielmożny panie!

Hrabia. Idźże asan, mówię — a ja się ułożę z żoną.

Pazurk. Idę, jasnie wielmożny panie! Idzie i znowu wraca.

Hrabia. Znowu? — Toś się asan, widzę, uwziął dzieiaj mnie w suchoty wprawić. Cóż tam takiego?

Pazurk. Wszystko dobrze, jasnie wielmożny panie! W Byszówce folwark się spalił.

Hrabia. Jakto? od piorunu?

Pazurk. Właściwie mówiąc, jasnie wielmożny panie, od nieostrożności ludzi.

Hrabia. O! ba! — To niech posesor zapłaci. Pojedź asan ze sprawnikiem ocenić szkodę i uformować należytą pretensję. Szlachcic nie bez pieniędzy. Kradł dobrze nieboszczyka podczaszego, który jeszcze był tak dobroduszny, że mu w nagrodę za to dał piętnaście tysięcy. Jedźże mi asan zaraz do sprawnika; poproś go odemnie, żeby też nie zważał na szloch pani komornikowej i na słowo uczciwe pana komornika, i ocenić mi moją szkodę — sprawiedliwie. Rozumiesz mię asan?

Pazurk. Rozumiem, jasnie wielmożny panie! Rachuneczek jasnie wielmożny pan każe przedstawić, co się wyekspensuje na utrzymanie sprawnika...

Hrabia. O! już te asana rachuneczki! Wszystko niech się tam wmieści w ocenienie szkody. Za co ja tracić będę? Niech szlachcic płaci, kiedy hardy. Szczególniej ten synek jego! Liznął cokolwiek nauki, i chce aby się z nim wszyscy obchodzili, jak z człowiekiem z urodzeniem. Proponowałem mu miejsce nauczyciela do mojego

Stasia; cóżbyś asan myślał? zaśpiewał mi 200 czer. zł. rocznej pensyi i 20 tysięcy po skończeniu edukacyi — prałat!

Pazurk. A! właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, to bardzo wiele. Ja i połowy tego nie mam za moje wierne usługi, za to sumienie..

Hrabia. Ej! do dyabła! daj asan pokój swemu sumieniu, panie Pazurkiewicz! To mrowisko zdaje się spokojną kupą, póki go nie ruszasz. Ale pogrzebaj tam asan ręką, a miliony grzeszków ruszą się, zaczną łązić i kąsać. Lepiej go nie tykać, radzę asanu.

Pazurk. kłania się. Jaśnie wielmożny pan żartuje...

Hrabia. Myśl sobie jak chcesz i idź już — bo nareszcie..

Pazurk. Idę, jaśnie wielmożny panie i jadę zaraz do sprawnika. Idzie do drzwi, ogląda się i wraca.

Hrabia. Czy jeszcze? A niechże asana dyabli wezmą! Zrywa się i wychodzi.

Pazurk. sam. Właściwie mówiąc, dyabli-to wezmą nas obudwóch, ale jeszcze cokolwiek poczekawszy. Tymczasem pożyczmy, kupimy Batorówkę, i potem da Pan Bóg wybory... i jaśnie wielmożny Pazurkiewicz deputat sądu głównego, a dalej prezes. Otóż to właśnie miejsce dla mnie, jaśnie wielmożny panie — fe! do dyabła! zapomniałem, że ja już sam będę... Zofia wchodzi bocznymi drzwiami.

Zofia. Panie Pazurkiewicz!

Pazurk. Ach! jaśnie oświecona księżniczka dobrodziejka.

Zofia. Daj pokój, panie Pazurkiewicz, tym jasnościom; jeszcze one mnie nie należą. Pazurkiewicz kłania się. Powiedz mi asan, daleko też stąd do Byszówki?

Pazurk. Półtory mili, jaśnie oświecona pani! Jest droga krótsza, ale to polami...

Zofia. To mi niepotrzebne. — Czy to tam mieszka niejaki komornik Staroświecki?

Pazurk. Tam, jaśnie oświecona pani.

Zofia. Od mojej jednej znajomej w mieście wzięłam kiedyś parę książek i zapomniałam jej oddać. Na tytule napisano, że one są własnością Antoniego Staroświeckiego. Spuszczając oczy. Czy to jest syn komornika?

Pazurk. Syn, jaśnie oświecona księżniczko.

Zofia. Odeślijże pan te książki ojcu, i proś, aby były oddane synowi. Musi przecież ojciec wiedzieć, gdzie się syn znajduje.

Pazurk. On teraz u ojca, jaśnie oświecona pani!

Zofia czerwieniąc się. Tem lepiej — prędzej odbierze swoją własność.

Pazurk. Im biedakom teraz nie do książek, jaśnie oświecona księżniczko!

Zofia. Dlaczegoż to?

Pazurk. Spalili się.

Zofia przełęczona. Ach! Boże mój! czy wielką szkodę ponieśli?

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie oświecona pani, zgorzał folwark, stodoły, obory, śpichlerz itd.

Zofia. Ach, to dla biednych ludzi prawdziwie wielkie nieszczęście.

Pazurk. do siebie. Co to ją tak interesuje? Głośno. Jaśnie oświecona księżniczka ma tak litościwe serce.

Zofia. Zmiłuj się, panie Pazurkiewicz! któżby nie żałował poczciwych ludzi, kiedy ich los przesładuje? Czy mój wuj wie o tem nieszczęściu?

Pazurk. Wie, jaśnie oświecona pani, i kazał mi pojechać ocenić szkodę.

Zofia. To zapewne były budynki stare i walące się, jak we wszystkich wioskach naszych. Ja myślę, dobry panie Pazurkiewicz, że tam niema co oceniać, i że pretensya niewarta, aby się mój wuj o nią upominał.

Pazurk. do siebie. E! e! tu coś jest. Głośno. Jaśnie oświecona księżniczka niech tak nie myśli. Folwark był piękny, piękny folwark. Jaśnie wielmożny hrabia w tych rzeczach strasznie akuratywny, i kazał mi ocenić tę stratę ze wszelką ścisłością. Ja myślę, że ona wyniesie plus minus do piętnastu tysięcy.

Zofia. Czy to podobna? Ja się wcale czego innego spodziewam po sumiennosci pana Pazurkiewicza. Miarkując się. Nie znam ja tych biednych ludzi...

Pazurk. Właściwie mówiąc, nie tacy oni biedni.

Zofia. Zawszeź biedniejsi od nas. A komuż być wspaniałym, jeśli nie nam, dla których los tak był szczodrym i wspaniałym?

Pazurk. Jaśnie oświecona krew płynie w żyłach jaśnie oświeconej pani.

Zofia ze wstrętem patrzy na niego — po chwili. Panie Pazurkiewicz! sądzę, że w moim majątku są lasy, bo materyał był kiedyś ważnem źródłem dochodów. Nasłuchałam się o tem jeszcze w dzieciństwie, bawiąc się w gabinecie mego ojca.

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie oświecona księżniczko, lasy się wytrzebiły i materyał wyprzedany.

Zofia seryo. Doprawdy? to mnie mocno dziwi.

Pazurk. do siebie. Czy nie myśli nas rachunków słuchać?

Zofia. Proszę asana, panie Pazurkiewicz, aby mieli pomoc w odbudowaniu z moich lasów. Choć one się wytrzebiły, jak asan mówisz, znajdzie się jeszcze materyału dosyć, jeśli tylko zechcesz. Słyszałam, że to są ludzie uczciwi i godni politowania. Będę mówiła za nimi z moim wujem, a asan zrób tak, jak każe. Ale, ale, wiele ja tam książek dałam asanu?

Pazurk. Dwie, jaśnie oświecona księżniczko!

Zofia. Zaczekaj asan. Jeszcze jest i trzecia. Proszę mu je razem odesłać. Wychodzi.

Pazurk. sam. Jak każe! widzisz ją, i ona już

każe, choć ma dopiero 18. rok. Krew, krew pańska, właściwie mówiąc. Nie będzie to woskowa lalka. Oj! co nie, to nie. I podobnośmy wielkie głupstwo zrobili, żeśmy się tak u niej rozgospodarowali. Ale co ją ten posesor tak interesuje? — podejrzana rzecz. A! przypominam sobie. Wszak to ja widywałem jegomości synka u ciotki księżniczki, i księżniczka tam wtedy u niej czas niejaki mieszkała. Pani Szenionowa przyjmowała go widać łaskawie, bo chłopak przystojny i rozumny, słuchał pewnie cierpliwie andronów starej umizgalskiej. Pamiętam nawet jak dziś, ilem razy wszedł, siedział obok księżniczki i rozmawiali z sobą coś z wielką konfidencyą. Rzecz podejrzana! Czy nie ma tu czasem czego w tych książeczkach? Przepatruje. A jak starannie obłożone! Odwraca okładkę z czystego papieru, i karteczka wypada. Oh! widzicie państwo, co się tu święci! I w tej trzeciej, po którą poszła, będzie pewnie taki sam opłatek. Dobrze! właściwie mówiąc, to dla mnie manna. Mamci ja w ręku dużo sekretów kieszonkowych jaśnie wielmożnego hrabiego, mojego pryncypała, i dobrze mi z tem. A teraz i sekreciki serdeczne jaśnie oświeconej księżniczki, mojej pryncypałki, wpadają w ręce dobremu człowiekowi — i to chwała Bogu. Cóż to tu napisano? Czyta. Monsiur Antoine! Dyabli nadali tę francuszczyznę. Właściwie mówiąc, z niej u nas wszystko złe poszło. Ale co z tem zrobić? czy

oddać, czy nie oddać? czy pokazać panu hrabiemu, czy nie pokazać? Nie oddać, źle. Księżniczka się dowie, i... rachunki — fe! Oddać hrabiemu, znowu księżniczka się dowie, i znowu źle. Nie, nie, oddać panu Antoniemu. Co mi tam, że księżniczka poromansuje trochę z panem komornikiewiczem? Czy to co nowego? Jednakże dam jej poznać, że się sekrecik wie — będzie grzeczniejsza, i może jaki tysiączek się okroi. Chowa karteczkę. W każdym interesie, właściwie mówiąc, najpierwsza rzecz to, aby człowiek sam był cały... A! Zofia wchodzi.

Zofia. Oto jeszcze jedna książka.

Pazurk. filuternie. Rozumiem, jaśnie oświecona księżniczko!

Zofia surowo. Co asan rozumiesz?

Pazurk. Że jaśnie oświecona księżniczka chce, żeby to było odesłane jak najspieszniej.

Zofia. Tak, zapewne. Dlaczegoż mają te książki leżeć u asana?

Pazurk. misternie. Ja po francusku nie umiem. A jak jaśnie oświecona pani starannie pookrywała te książki!

Zofia. Bo ja cudzą własność szanuję, panie Pazurkiewicz!

Pazurk. układnie. To obowiązek sumienia każdego uczciwego człowieka.

Zofia. A szczególnie komisarza.

Pazurk. na stronie. Źle!

Zofia. No, idź już asan i odeślij. Ale, ale, prędko się też kończy moja małoletność?

Pazurk. na stronie. U! źle! — Głośno. Właściwie mówiąc, jasnie oświecona księżniczko, według ustaw naszych, w ośmnastym roku.

Zofia. To jest, za pół roku. Proszę pamiętać o tem

Pazurk. Będę, będę pamiętał, jasnie oświecona pani! — Na stronie. Właściwie mówiąc, to będzie Herod baba. Wychodzi.

Zofia sama. Biedni ludzie! biedny pan Antoni! — A mnie wszystko krępuje. Boli mię to, że im pomódz nie mogę, i wstydę się, że nie śmiem. Na cóż mi te tytuły, ten dostatek? — Ociera łzy. O! czemu ja nie jestem ubogą dziewczyną! Wychodzi.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Salon w pałacu hrabiego. Wchodzi *Hrabina*; za nią lokaj niesie pod pachą poduszkę atlasową, pod drugą poduszkę aksamitną pod nogi. *Hrabina*, kobieta blada, delikatna; twarz kapryśna i nieukontentowana; ubiór staranny i miękki. — *Zofia.*

Hrabina. Coś tu czuć źle. — Zadzwoń, Zosiu! *Zofia* dzwoni, kamerdyner wchodzi. Zakadzić! Kamerdyner wychodzi. — Dlaczegoż to moje krzesło zmięte? pewnie ktoś na niem siedział. — Zadzwoń, Zosiu! *Zofia* dzwoni, kamerdyner wchodzi. Kto tu siedział na

moim fotelu? Czy ty nie wiesz, mój kochany, że ja tego znosić nie mogę?

Kamerdyner. Tu nikogo nie było, jasna pani! tylko jasny pan przechodził tędy, i może...

Hrabina. Kłamiesz, mój kochany! Mój mąż nie byłby tak grubiańskim, aby zrobił to, co mi się nie podoba. Przynieś serwetę, zetrzeć fotel. Kamerdyner wychodzi.

Zofia. Wujenka niedobrze spała!

Hrabina. Przepędziłam prawie noc białą. Czytałam długo. Napadłam na éwiartki interesujące i wymowne. Ten autor prawdziwie... Kamerdyner wchodzi z serwetą na talerzu. Pokaż. Bierze serwetę i wacha. Fe! mydłem śmierdzi. Rzuca. Zupełnie stajesz się nietroskliwym, mój kochany! Jeśli się to przeciągnie, to cię każę zrobić rekrutem. Idź sobie! Mówiłam: zakadzić i śniadanie podawać!

Kamerdyner spiesznie wychodzi. *Zofia* przygląda się swojej robocie w krosnach. Lokaj kładzie jedną poduszkę na krześle. *Hrabina* siada i stawia nogi na aksamitnej poduszce. Lokaj wychodzi.

Zofia. Wujenka sobie zaszkozi, że tak mało sypia.

Hrabina. W rzeczy samej myślę, że to będzie miało miejsce, co mówisz. — A jeszcze ci ludzie zdaje się na to stworzeni, aby nas z zawias wyrzucać. — Do tej pory nie podają herbaty. Zadzwoń, Zosiu! Dzwoni — kamerdyner wchodzi ze śniadaniem. Poszedłeś, mój kochany, i przepadłeś. Pokaż! Kamerdyner trzyma przed nią tacę; ona patrzy w filiżankę i wacha. Widzisz, filiżanka niedosyć czysta.

Bierze masło na koniec noża i wacha. Fe! mój kochany! masło nie świeże! kosztuje bułeczkę i wypluwa na tacę i chleb biały nie ma żadnego gustu! — Czy wy mnie chcecie otruć? — Weź to sobie precz i powiedz Kluczkowskiej, że jej każę dobrze zmyć głowę za takie niedbalstwo. Kamerdyner wynosi herbatę, ruszając ramionami.

Zofia. Kochana wujenko! przy tak słabem zdrowiu...

Hrabina z żywością. Cóż to za książkę masz w ręku, której ja nie znam? Proszę cię bardzo moja Zofio, abys nie brała książek od nikogo, tylko odemnie. Lektura jest dla młodej osoby rzeczą niebezpieczną, gdy nie jest dyrygowana przez rękę biegłą.

Zofia. Kochana wujenka wie, że ja prawie nie czytam innych książek, jak polskie; a te, dzięki Bogu, nie są niebezpieczne. Nasi pisarze czują ważność swego powołania, i widzą, jaka odpowiedzialność na nich leży,

Hrabina. Każdemu swój gust. — I ja usiłuję ich czytać także, ponieważ to jest teraz użycie; ale znajduję że w nich niema dosyć uncszenia.

Zofia. Co to wujenka chciała powiedzieć? doprawdy nie zrozumiałam dobrze.

Hrabina. Czyż to nie po polsku, moja ty Tańska?

Zofia. Nie, kochana wujenko, doprawdy, że to nie po polsku. Wujenka pewnie chciała powiedzieć,

że nie mają dosyć pociągu, powabu. — To rzecz bardzo naturalna. Wujenka niedawno zaczęła ich czytać, i teraz dopiero usiłuje mówić swoim językiem; ale to niedosyć, kochana wujenko! Trzeba swój język serdecznie kochać i z gruntu go znać, żeby w pisarzach jego znaleźć powab. Dla mnie oni go mają.

Hrabina z przekąsem. Merci pour la leçon, mademoiselle!

Zofia całuje jej rękę. Przepraszam, droga wujeneczko! — ale jabym tak rada, żebyśmy, my wszystkie, kochały i znały język naszych prababek! I przyjdzie do tego, jeżeli tylko panienki znakomitych rodzin nie będą miały nianiek Angielek i guwernantek Francuzic. O! jak ja wdzięczna jestem mojemu ojcu, że mię testamentem od tej zarazy wybawił. Moja pocziwa Błeszyńska niebardzo uczona, ale Psalmy i Treny Kochanowskiego na pamięć umie; i za to ja ją serdecznie kocham. I wujenka już teraz daleko lepiej mówi, niż pierwej. Żeby to jeszcze wujeneczka tak od razu myślała po polsku, toby nie mówiła, że *nas z zawias wyrzucają, że natrafiła na éwiartkę wymowne, że chleb biały niema żadnego gustu, i t. d.* Ale to nie wujenki wina. Wujence francuzczyznę zaszczepili, jak ospę.

Hrabina. Powiedzże mi, moja ty pedantko, czy ja doprawdy takie straszne myłki robię?

Zofia. Straszne, moja droga wujenko!

Hrabina. Proszę cię, ponieważ to jest teraz użycie, daj mi każdy raz, co się pomyłę, jaki znak.

Zofia całuje ją w rękę. Dobrze, kochana wujenko! Ile razy wujenka powie co z frzncuska po polsku, to ja położę tak palec na ustach. — Ale, ale, kochana wujenko! czy też my pojedziemy na jarmark? Tam pewnie będzie wiele polskich książek. Chciałabym sobie powiększyć moją bibliotekę.

Hrabina. I dobrze, żeś mi przypomniała — i ja potrzebuję koniecznie być na jarmarku. *To jest niegodność prawdziwie*, *Zofia* kładzie palec na ustach, i dalej we wszystkich miejscach, które kursują. żeby w takim domu, jak nasz, wszystko było tak stare i odwieczne. *Patrz mi trochę* na te meble, na te brzozy, na te franki! *Ale to jest wstyd* doprawdy. Mając blisko człowieka *gustu tak wytwornego*, jak Szafnagiel, mieć w domu *takie okropności!* Naturalnie, *żebym więcej lubiła z moim maleńkiem zdrowiem* siedzieć sobie spokojnie i zajmować się lekturą, niż jeździć po brudnem miasteczku i kłócić się z żydami, którzy *tak źle pachną*. Ale, nieszczęściem, niema komu zająć się tem, co mi potrzeba, pomyśleć o tem, coby mi było miłe. Muszę też *mieć z moim mężem maleńką eksplikacyą w tej materji*, bo już *więcej nie mogę; moja cierpliwość jest w końcu*. — Przestań-że, moja panno, z tymi grymasami i zadzwon! Kamerdyner wchodzi. Poprosić tu pana

graфа; *tylko mów*, że ja proszę, aby przyszedł w *tym momencie*. Kamerdyner idzie ku bocznym drzwiom, z których wychodzi hrabia.

Hrabia. Czego?

Kamerdyner. Jasna pani pana graфа prosi.

Hrabia. No, idę — ruszaj sobie. Kamerdyner wychodzi. Czego chciałaś odemnie, Heleno?

Hrabina. Kazałam cię prosić, mój Kaziu, abyś się też przypatrzył moim apartamentom.

Hrabia. I cóż w nich szczególnego?

Hrabina. Otóż właśnie, że one nie mają nic, coby je zalecało. Wszystko takie ordynaryjne, tak mało dystyngowane, że prawdziwie mam wstyd, gdy jaka pani marszałkowa do mnie przyjeżdża i znajduje, że wszystko jest z tamtego świata. To jest niegodność, doprawdy, panie hrabio, tak mię upokarzać w oczach ludzi ciemnych, jak gdyby nie było skąd odnowić domu, sprowadzić meble lepszego gustu, i niektórymi maleńkiemi ozdobami zrobić honor naszemu urodzeniu i naszej fortunie. *Zofia* przez cały ten czas trzymała palec na ustach. Panno *Zofio!* seryo się rozgniewam.

Hrabia. Cóż ona ci robi, Heleno? nikomu nie dasz pokoju!

Hrabina żywiej. Nie mam nowej karety. Szory jeszcze te, któremiśmy jechali do ślubu. Prawdziwie, róż występuje na twarz moją, gdy mi przychodzi zrobić jaką wizytę.

Hrabia. I nie więcej? Na stronie. Dobrze, że mi oszczędza argumentów.

Hrabina jeszcze żywiej. Mój panie! ja nie znoszę złych żartów. Powinienbyś mieć więcej względów dla kobiety słabej i cierpiącej. Czy ja jestem wymagająca? czy się mięszam do twoich wydatków? czy kładę jakie zawady w twoich ukontentowaniach? Podnosi się z gniewem. Czegoż na mnie tak patrzysz tą postacią zimną i ironiczną? Fe! mój panie! Powinienbyś mieć wstyd okazywać tak jawnie, że masz złe serce. Siada.

Hrabia. Już wszystko powiedziałaś? Otóż widzisz, jak byłaś niesprawiedliwą. Gdybym chciał okazać tyle surowości, na ile te niesłuszne wyrzuty zasługują, zostawiłbym cię w tych myślach i miłczałbym. Ale mam wzgląd na twoje zdrowie, i chcę cię tylko lekko zawstydzić. Patrz, moja Heluniu, z czem tu do ciebie szedłem. Daje jej papier.

Hrabina czyta. „Regestr sprawunków mających się zrobić na przyszłym jarmarku.“ — Więc doprawdy miałeś sam tę szczęśliwą ideę? — Czyta. „Bronzów na cztery tysiące — mebli na pięć tysięcy — zwierciadeł dużych pięć — kocz nowy.“ — Ale ja chciałam karety.

Hrabia. Jest tam i kareta, tylko czytaj. A co, Heluniu? czy mieliśmy jednakowe myśli? Czy troskliwość moja nie obejmuje wszystkiego, co ci może zrobić przyjemność? Czy to prawda, jak wy kobiety czułe i delikatne utrzymujecie, że mężowie wasi są egoiści, którzy was nie pojmują

i nie rozumieją? Wartoby mię przeprosić, moje życie!

Hrabina podaje mu rękę. Pardon, pardon, mon cher!

Hrabia. Mój ty aniołku! Nachyla się, chcąc ją pocałować.

Hrabina odwraca się. Fe! mój Kaziu! czujesz okropnie lulką. Zadzwoń, Zosiu! Kamerdyner wchodzi. Zakadzić! Nie jest-że to egoizm fatalny, nie móżdż mi zaskryfikować taką rzecz, jak lulka, której ja znosić nie mogę? jak gdybyś nie wiedział, że każdy zły odór atakuje mi nerwy.

Kamerdyner. Jasna pani! przyjechali z towarami żydzi, Gierszon i Mortko brodzki.

Hrabina powstaje żywo. Zaprowadź ich do sali.— Mój Kaziu! proszę mi też tam przysłać z parę tysięcy złotych. Mam wiele rzeczy kupić ostatniej potrzeby.

Hrabia. Ale parę tysięcy, Heluniu, to dużo! Wolałabyś je schować na jarmark.

Hrabina seryo. Czy mnie na to nie stanie, panie hrabio?

Hrabia. Dobrze, dobrze, przyślę. Ale zaczekajno, chciałem ci tu jeszcze opowiedzieć jeden ważny interes, tyczący się twojej Jabłonówki.

Hrabina. To potem, potem.

Hrabia. Ale moje życie, rzecz nie może być odłożoną. Trzeba, żebyś podpisała plenipotencję w tym interesie. — A tam się nie prędko ułatwisz.

Hrabina. To potem mi opowiesz.

Hrabia daje jej pióro. Podpiszże przynajmniej plenipotencję, a potem ci opowiem.

Hrabina podpisuje. Wy, panowie mężowie, nieznośni jesteście z waszymi interesami.

Hrabia. Cóż robić? — i wy macie wasze.

Hrabina. Parę tysięcy, Kaziu! bardzo proszę. Wychodzi.

Hrabia do siebie. Teraz dosyć będzie i 200 złotych.

— Do Zofii. Cóż asyndzka tak stoisz zamysłona?

Zofia. Myślę, kochany wujaszku, że jabym nie podpisała, nie wiedząc co podpisuję, choćby cały Berdyczów do mnie przyjechał.

Hrabia. Doprawdy? Więc nie myślisz ufać mężowi?

Zofia. Ile razy będzie mi pochlebiał, ufać mu nie będę. — Ale wujenka mię woła. Wybiega.

Hrabia. Hm! ładne usposobienia odkrywają się w mojej pupilce. Zawsze była dziewczyna determinowana. Już to wzięła po matce. A owoż i złośliwy rozumek się odkrywa. — Za mąż panienkę, za mąż — gotowa mi ambarasu narobić! Pazurkiewicz zagłada przez te drzwi, któredy wszedł hrabia. A! dobrze, żeś przyszedł — Chodź asan.

Pazurk. Co jaśnie wielmożny pan rozkaże?

Hrabia. Czy wiesz asan, że księżniczka już wcale nie dziecko?

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, to będzie pani, jakich mało.

Hrabia. Ma rozum i przenikliwość.

Pazurk. Oj! ma, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Będzie kobieta z charakterem.

Pazurk. Oj! z charakterem, jaśnie wielmożny panie.

Hrabia. Żeby nam nie pomięszała szyków!

Pazurk. Oj! pomięsza, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Jąby trzeba prędeż za mąż.

Pazurk. Właściwie mówiąc, trzeba jak najprędeż, jaśnie wielmożny panie! byle był mąż taki, coby wprzód nam dał zakwitowanie ze wszelkich pretensyi.

Hrabia. Jedźże asan natychmiast do pana barona Izajewicza. On się oświadczył o rękę księżniczki; prośże go, żeby przyjechał. Ale wprzód wyrozumiej go asan, czy będzie gotów tak, zamrużywszy oczy, zrobić wszystko, co zechcemy.

Pazurk. Zdaje się, że powinienby zrobić. Choć on bogacz, ależ to dla niego honor.

Hrabia. Rozumie się, że honor.

Pazurk. A jak będzie robił trudności?

Hrabia. To niech go dyabli wezmą wychrzte! Wtenczas mu asan powiesz odemnie, żeby sobie jechał do Berdyczewa szukać żony.

Pazurk. Dobrze, jaśnie wielmożny panie! Kłania się, odchodzi parę kroków i wraca. A jak księżniczka go nie zechce?

Hrabia. O! ba! ba! jeszcze czego! — Jednakże dobrze, żeś mi przypomniał. Poślij asan

ekonoma do mojej siostry. Trzeba, żeby pani Szenionowa tu była; ona ją uchodzi. Śpieszże asan; a ja sam pojedę do Arona — plenipotentcy już jest.

Pazurk. Jest? no, to i pieniądze będą; a właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, bez pieniędzy źle.

Hrabia. Toć asan nowość powiedział! — Ale, ale, cóżeście zrobili w Byszówce?

Pazurk. Wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie! Szkoda wielka — na szesnaście tysięcy samych budynków, nie licząc innych szkód z niemożności wypuszczenia wsi w posesyę, z ucisku poddanych i t. d. — Choć jaśnie wielmożny pan siako tako trzyma o mojem sumieniu, ja jednak nie uważałem na łzy i mdłości pani komornikowej.

Hrabia. Cóż pan komornik?

Pazurk. Pan komornik protestował się. Ocenił sam szkodę na sześć tysięcy, i ma tu przyjechać z prośbą do jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia. Na sześć tysięcy? kiedy mnie tak potrzeba pieniędzy!

Pazurk. Właściwie mówiąc, ona więcej nie warta, jaśnie wielmożny panie! ale mając wzgląd na inne ubytki, ekspensa...

Hrabia. Ocenienie zrobione urzędownie?

Pazurk. Jak najformalniej, jaśnie wielmożny panie.

Hrabia. Basta! Zapłaci — zostanie; nie za-

płaci — sprzedać wszystko, co ma, z publicznego targu, i niech rusza z Bogiem! Ja potrzebuję pieniędzy.

Pazurk. Ale co na to powie księżniczka, jaśnie wielmożny panie?

Hrabia. Księżniczka? — a jej co do tego?

Pazurk. Nie wiem, jaśnie wielmożny panie! Ale przypadkiem dowiedziała się o ich nieszczęściu i bardzo ich żałuje. Nawet kazała odbudować folwark ze swoich lasów. Właściwie mówiąc, w tem niema nic złego, że folwark we wsi jaśnie wielmożnego pana odbuduje się z lasów księżniczki. Zawsze jeszcze zostanie pretensyi tyle, że przyjdzie remanenta komornika sprzedać.

Hrabia. Skądże to interesowanie się mojej siostrzenicy?

Pazurk. Nie wiem, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Panie Pazurkiewicz! czy asan myślisz, że jak powiesz: nie wiem, to ja ci uwierzę?

Pazurk. Właściwie mówiąc, jaśnie wielmożny panie, ja tu coś miarkuję; ale to są rzeczy, o których nie śmiałem i mówić. Mnie się zdaje, że bodaj czy się nie podobał księżniczce syn pana komornika.

Hrabia śmieje się. Więc obrał ją sobie za mużę — dobrze, dobrze. Ale gdzież się tak poznali?

Pazurk. Zdaje się, że u jaśnie wielmożnej Szenionowej.

Hrabia. Że też ta moja siostra zawsze jakie-

goś hołysza musi wpuścić w dom, byle tylko słuchał jej andronów. I asan mówisz, że się podobał? To być nie może. Takie kapitalne głupstwo! Musi to być coś innego. Śmieje się. Ładna mi para!

Lokaj wchodzi. Pan komornik Staroświecki prosi o pozwolenie wejścia.

Hrabia. Kto taki?

Lokaj. Posesor z Byszówki.

Hrabia. A! — No jedźże asan, panie Pazurkiewicz, do barona. Ale zaczekaj. Pisze. Daj jeszcze tę karteczkę ekonomowi, niech ją odwiezie do mojej siostry. Czeka-no asan, coś jeszcze miałem... A! daj tam asan mojej żonie ze dwieście złotych.

Pazurk. Dobrze, jaśnie wielmożny panie! Wychodzi.

Hrabia do lokaja. Wołaj pana komornika! Siada. Lokaj otwiera drzwi, komornik wchodzi, lokaj wychodzi.

Komornik. Uniżony sługa jaśnie wielmożnego pana. *Hrabia* nie odpowiada. Zofia wchodzi cicho i siada z boku przy krosnach. Komornik, postąpiwszy bliżej: Uniżony podnóżek jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia nie patrząc nań i przerzucając papiery. A! kłaniam. — Cóż tam, panie komorniku, powiesz mi dobrego?

Komornik. Dobrego nic jaśnie wielmożnemu panu nie powiem. Może mu to nawet będzie

niemiłe, z czem przyszedłem; ale cóż robić? Przyszedłem z prośbą i razem ze skargą.

Hrabia. Czy nie myślisz asan skarżyć się przedemną na los, który ci zrobił krzywdę, i na własną nieostrożność, która jej była przyczyną? — Mój panie! cóż ja na to poradzę?

Komornik. Jaśnie wielmożny hrabio! na los, jeśli mię krzywdzi, skarżę się tylko jednemu Bogu; a z nieostrożności, jeśli mi się zdarza, spowiadam się przy konfesyonale. Ja przyszedłem tu zanieść do stóp jaśnie wielmożnego pana skargę na człowieka, który od niego zależy, i który źle rozkazy jaśnie wielmożnego pana wykonywa.

Hrabia. Mój mości komorniku! ze złego wykonania moich rozkazów ja tylko ponoszę szkodę. Niepotrzebnieś się zatem fatygował.

Komornik. Jaśnie wielmożny hrabio! przywykłem z dawna szanować imię, które jaśnie wielmożny pan nosisz; przywykłem wierzyć, że człowiek, który nie zapominał, z jakiego źródła krew jego płynie, który czci pamięć znakomitych swych przodków, nie wyda rozkazów z krzywdą bliźniego. Tymczasem stała mi się wielka krzywda; i dlatego wniosłem, że rozkazy jaśnie wielmożnego pana źle były wykonane.

Hrabia. O cóż właściwie idzie?

Komornik. Jaśnie wielmożnemu panu wiadomo,

w jakim stanie były zabudowania, które pożar zniszczył.

Hrabia. Dawno ich nie widziałem — nie pamiętam — ale zdaje się, że były obszerne i porządne.

Komornik. Były obszerne, ale stare. Folwark się walił; stodoły własnym kosztem wyreperowałem; obory i owczarnia były nowsze, ale niekosztowne; śpichlerz tylko był porządny; ale to co w nim zgorzało, więcej warto, niż sam budynek. Otóż nieuczciwy i niewierny komisarz jaśnie wielmożnego pana, zmówiwszy się ze złym urzędnikiem, ocenili tę szkodę trzy razy więcej, niż warta; chłopci, podpojeni wódką, zagrożeni batogami, przysięgą stwierdzili realność tej szkody — i ja, którego i tak nieszczęście dotknęło, poniosłem od jaśnie wielmożnego pana krzywdę daleko cięższą i boleśniejszą, niż ta, którą mi los zadał.

Zofia. Ach! to okropnie!

Hrabia. Asyndzka tu? — Zostaw nas samych!

Komornik. Nic nie szkodzi, jaśnie wielmożny panie! — Prośba moja nie ma żadnego sekretu. Nie powstydzę się przy tej pani skłonić się do stóp jaśnie wielmożnego pana i prosić, abyś był sprawiedliwym i miłosiernym.

Hrabia. Mój mości komorniku! przyznajesz, że pożar nie od piorunu.

Komornik. Przyznaję, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Na mocy kontraktu wszystkie szkody od pożaru, któryby się nie wszczął od piorunu, powinny być indemnizowane.

Komornik. Powinny, jaśnie wielmożny panie!

Hrabia. Zatem...

Komornik. Zatem zapłacić powinienem.

Hrabia. O cóż więc idzie?

Komornik. O to, jaśnie wielmożny panie, żem powinien zapłacić to, co szkoda warta, ale nie trzy razy tyle.

Hrabia. Ocenienie było przecież formalne.

Komornik. Formy były, jaśnie wielmożny panie, ale nie było — sumienia.

Hrabia. Wartość mojej straty stwierdzona przysięgą świadków.

Komornik żywo. Przysięgę dyktowała wódka i batogi.

Hrabia. Masz asan na to dowody?

Komornik. Dowód w tem, że mówię. Nie skłamałbym za cały majątek jaśnie wielmożnego pana, nie dopieroż za te szesnaście tysięcy, które mi pan Pazurkiewicz, w imieniu jaśnie wielmożnego pana, chce wydrzeć.

Hrabia. Czy asan przyszedłeś tu zemną się kłócić?

Komornik. Jaśnie wielmożny panie! racz darować staremu nieuważne słowo. Jestem trochę za gorąco kąpany; a wielka bieda, jaśnie wielmożny panie, równie jak wielkie szezęście, czyni

człowieka zuchwalszym, niżby być powinien. Chciej jasnie wielmożny pan mieć wzgląd na moje położenie. Ja tu przyszedłem prosić wspa-
niałości i miłosierdzia; a człowiekowi uczciwemu, który musi prosić miłosierdzia, można wybaczyć, jeśli się zmarszczy, gdy kto kładzie lód na jego gorącą ranę.

Hrabia. Ambicya! ambicya! panie komorniku! — No, no, nie gniewam się, ale bardzo żałuję, że nic dla asana zrobić nie mogę. Czasy są za ciężkie na wspaniałość. Gdybym był równie bogatym jak moi przodkowie, nie patrzyłbym na tę stratę. Ale ja mam interesa, mam długi i muszę być akuratnym. *Redde, quod debes.* Znasz asan, panie komorniku, stare przysłowie. Powtarzają je ze wszystkich stron mnie, ja także muszę je powtórzyć asanu. Zapłacisz mi przed jarmarkiem 16 tysięcy. A tam na inne szkody i ubytki, na ucisk poddanych, grożąc mu niby łaskawie bo i to było, panie komorniku, możemy patrzeć przez szpary.

Komornik. Jasnie wielmożny panie! poddanych nie uciskałem. Należy to do długiego rejestru kłamstw pana Pazurkiewicza.

Hrabia. Skarżyli się przecie Sprawnikowi.

Komornik żywo. Jasnie wielmożny panie! — Miarkując się, jasnie wielmożny pan racz darować — już milczę. — Panie hrabio! świadczę się Bogiem i sumieniem, że ta szkoda nie warta

więcej, jak sześć tysięcy. Racz jasnie wielmożny pan przyjąć teraz odemnie rewers na tę sumę. Mam-ci ja wprowadzie mały kapitał ulokowany u pana prezesa; ale termin wypłaty za pięć miesięcy — może nie odda.

Hrabia. Mój kochany komorniku! ułożyłeś sobie zbyć mię lada czem, i sądzisz, że się dam okpić.

Komornik. Panie hrabio! ja nie okpiwałem w życiu mojem nikogo, i okpiwać nie myślę. Jestem nieszczęśliwym i potrzebnym; ale to nie daje nikomu prawa robić mię oszustem. Taki łajdak, jak Pazurkiewicz, mógł na mnie nara-
chować co mu się podobało; ale żaden hrabia ani książę nie może, i niechaj nie śmie, zadawać mi nieuczciwych zamiarów.

Hrabia. Ha! jeśli masz takie szlacheckie fupy, to zapłać szesnaście tysięcy, i basta — szesnaście tysięcy przed jarmarkiem; lub wszystko, co masz, sprzedanem będzie z publicznej licytacji.

Zofia przystępuje. Kochany wujaszku! Prosiłam Pazurkiewicza, aby spalone budynki kazał odbudować z moich lasów! Sądzę, kochany wuju, że się temu nie sprzeciwisz. Choć nie mam prawa jeszcze rozrządzać moim majątkiem, mniemam, że mam prawo litować się nad prawdziwym nieszczęściem. Takby zrobił mój ojciec, i ja w rocznicę jego śmierci chcę mu przesać na tamten świat tę pamięć jego nauk i przykładów.

Hrabia. Romanse, moja panno, romanse!

Komornik. Któż ty jesteś, piękna pocieszycielko moja? Masz postać anioła, i anioła głosem podniosłaś upadającego i upokorzonego starca.

Zofia proszącym głosem. Wujaszku!

Hrabia. Proszę bardzo wspaniałomyślniej księżniczki Zofii, aby się nie mieszała do nie swoich rzeczy.

Komornik. Tyś księżniczka Zofia! O, nie dziwię się teraz twemu szlachetnemu postępkowi. Wpatruje się. Tak, i z twarzy i z serca podobnaś do twego ojca.

Zofia. Czy znałeś go, panie komorniku?

Komornik. Gdym był w usługach nieboszczyka podczaszego, często tam widywałem księcia. Oni byli przyjaciółmi, ci prawdziwie wielcy, ci staropolscy panowie.

Hrabia. Niech z Bogiem odpoczywają — daj im asan pokój, panie komorniku, a mnie przed jarmarkiem 16 tysięcy zapłać.

Zofia ze wstrętem. Fe! wujaszku! Wychodzi.

Hrabia. Skończyliśmy, panie komorniku!

Komornik. Skończyliśmy, panie hrabio! — Jeszcze jedno tylko słowo. Racz mi jaśnie wielmożny pan powiedzieć, czy przyznajesz za słuszną robotę niegodziwego komisarza swego?

Hrabia. To do rzeczy nie należy.

Komornik. Ale ja odwołuję się do sumienia jaśnie wielmożnego pana.

Hrabia. A ja odwołam się do sądu i remanenta asana sprzedam. Bądź asan zdrów i nie prosź mnie więcej.

Komornik. Nie, panie hrabio, prosić cię więcej nie będę. — Pójdę prosić Arona. Wychodzi.

Hrabia sam — liczy na palcach. Szesnaście tysięcy — sto na Jabłonówkę, to 116 — ze sprzedaży wódki i zboża z pięćdziesiąt, to 166 — z propinacyi i różnych rachunków opieki do trzydziestu... *plus minus* dwakroć. — No, tymczasem wystarczy. Wychodzi.

SCENA II.

Pokój bawialny w domu pani Szenionowej na wsi. Wchodzą pani Szenionowa i baron Izajewicz. Pani Szenionowa stara elegantka. Suknia dawnym krojem — blansz, róż, wachlarzyk w rękę — żywa, podrygująca.

Pani Szenionowa. Ładnieżto tak, baronuniu? — Przyjechałeś i nie pokazujesz się. — Trzeba cię dopiero słodkim bilecikiem zwabiać.

Baron. Niech pani daruje — prawdziwie...

Pani Szenionowa. No, no, nie gniewam się — stawiałeś się na rozkaz — je suis généraleuse! Podaje mu rękę, którą baron całuje. Ale skądże jedziesz, baronuniu? — czy byłeś i w Paryżu? — Ja już dawno nie byłam w Paryżu; jeszcze za cesarstwa. O mój luby baronuniu! cóż to się tam działo! — Jaki przepych, jakie uroczystości! —

Właśnie byłam na koronacyi Maryi Ludwiki. Stałyśmy w czasie parady w oknie z księżną Montebello — a Kambaceres, przyjeżdżając w orszaku, kłaniał się nam. Wtenczas księżna rzekła do mnie: Patrz, moja droga Szenionowa, co się tu dzieje! Zdaje się, że cały świat zlał tu złoto i zsywał drogie kamienie. Prawda — rzekłam z westchnieniem, miałam jakieś smutne przeczucie — i zgadłam. Rok 1812... Ale co o tem mówić.

Baron. Bez wątpienia!

Pani Szenionowa. Zapewne i brzegi Renu zwiedzałeś. O mój baronuniu! Widzę jak na dłoni te zamki, te ruiny. Jeździł tam z nami jeden młody lord. Miłe wspomnienie! Każdy miał swój czas. Ileż-to już lat temu? — poczekaj... W r. 18... doprawdy zapomniałam w którym. Możesz sądzić, że nie taką byłam, jak teraz. W aksamitnej sukni, płaszczyk podróżny à l'Espagnole, kapelusik kastrowy niewielki z białemi piórami, loków czarnych pęk — a w około czarujące widoki; a przy boku moim młody człowiek — lord — zakochany, powiadam ci, jak pastuszek! — Drożyłam się jak cię kocham, i mogłam się podrożyć. — Ale to już przeszło.

Baron z uśmiechem. Nie wszystko.

Pani Szenionowa uderza go po rękę wachlarzem. Flatteur! — Przyznaj się, ileś konkiet zrobił w swoich podróżach? — Ale o tem nie powiesz.

Tyś człowiek rozumny i delikatny, i nie skompromitujesz tych biedaczek, którym pewnie na kolana przysiągałeś: je vous adore, Madame! którym obiecywałeś wszystko wyprzedać, co masz koło Berdyczewa, i osiąść tam, gdzie ona, aby oddychać tem samem powietrzem, patrzeć na toż niebo. — Cóż? nie tak? O! znam ja was, łotrzyki! Umiecie dobrze kłamać! A gdyś oszukał, pojechałeś do Medyolanu, nieprawdaż? — A propos! już zastałeś skończoną katedrę? Co za masa! ogrom! — Tylko taki człowiek, jak Napoleon, mógł dokończyć w kilka lat dzieło kilku wieków. — A teatr la Scala? Co to za czary, ta muzyka, ten śpiew, ten natłok ludu! — to zdumiewa, wierz mi! Właśnie, pamiętam, byłam w loży księżny Ursino, gdy śpiewała Katalani. Słyszałeś zapewne Katalani? Poznałam się z nią, i razem byłyśmy na kongresie w Akwisgranie. Wyobraź sobie, mój baronuniu, co to za kobieta! Poszłyśmy z nią oglądać salę, w której miała dać koncert. Było wspaniale; jej nie podobało się. Nadszedł Metternich; toż mu zmyła głowę! Trzeba to było słyszeć. Ja drżałam o nią. — Musiałeś się poznać z Metternichem i widziałeś zapewne hrabinę Blauenberg. Któż jej nie widział, kto był w Wiedniu? Wystawże sobie, zeszłyśmy się z sobą i zaprzyjaźniły. Kochał się w niej okropnie baron Sternberg — i mnie u niej widywał. Cożbyś myślał, baronuniu? Do nóg mi padła

owa dumna piękność i prosiła: nie odbieraj mi go. Mnie wówczas co innego było w głowie, i łatwo mi było być wspaniałą. Ach! dobre to były czasy! — Ale coś się krzywisz. Pewnie ci Wiedeń niemiłe zostawił pamiątki. Oszukali cię tam pewnie, ptaszku! — złapali do klateczki i potem nie dali cukru — ha! ha! ha! No, przyznaj się — wszak to już przeszło.

Baron. Mogę panię upewnić, że mi się nie podobnego w Wiedniu nie stało.

Pani Szenionowa. A w Paryżu?

Baron. Ani w Paryżu.

Pani Szenionowa. A w Medyolanie?

Baron. Ani w Medyolanie.

Pani Szenionowa. Zmyślasz, zmyślasz — jak to być może?

Baron. Bardzo być może — bom tam nie był.

Pani Szenionowa. Byłżeś przecie za granicą.

Baron. Byłem w Brodach, pani dobrodziejko!

Pani Szenionowa. W Brodach? w naszej Jerozolimie? — Cóż tam robił, baronuniu? To takie brzydkie miasto.

Baron. Miałem interesa. Kupiłem w cyrkule Złoczowskim majątek. Nim się ułatwiło...

Pani Szenionowa. Ach! te interesa! Wyobraź sobie, mój baronuniu! Dawniej jeździłam, bawiłam się, używałam świata, i nigdy nie byłam gospodynią. Odkąd owdowiałam, a będzie już temu lat dwadzieścia kilka... Nie widziałeś nigdy mego

męża? — Prawda, jesteś za młody. — Był to człowiek rozumny i bardzo ładny. Pojmujesz to, że ja, z mojem iminiem, majątkiem, i — co tam teraz już obwijać w bawełnę? byłam śliczna, i basta. Taka wysmukła, chód lekki, zęby jak perły, wejrzenie królowej. — O! tak, tak, mój baronuniu! teraz patrzysz na mnie i uśmiechasz się, a dwadzieścia lat temu leżałbyś u nóg moich i płakałbyś jak bóbr. Otóż taką będąc, nie byłabym zapewne poszła za pana Szeniona, gdyby nie miłość. Ale zakochałam się okrutnie. On mnie, naturalnie, ubóstwiał, dogadzał, psuł, tak żem się niczem nie zajmowała. Owdowiawszy, miałam co innego w głowie, nie gospodarstwo. — Ty się tem także nie zajmujesz; ale co tobie! — Tyś Krezus.

Baron. I owszem — ja...

Pani Szenionowa. A jakie to u nas kolosalne fortuny poginęły lub umiejszyły się przez nieład! Radziwiłły, Czartoryscy, Rzewuscy, Sapiehowie. Wszystko to nie to, co było. Dziwić że się mnie? Młoda wdowa — koło mnie rój — toaleta, podróż, wszystko to pożera pieniądze. Wyobraź sobie, baronuniu! gdym niedawno zajrzała do stanu moich interesów, przeleżałam się. Baron bierze za kapelusz — pani Szenionowa chwyciła go za rękę, i trzymając, mówi. Ale póki jeszcze głowa jest, choć już nie taka, jak była — czy uwierzysz baronuniu? że miałam włosy po kostki, czarne, lśniące

jak krucze skrzydła — a teraz już siwe, jak cię kocham, siwe. Ależ za to więcej doświadczenia. Czas już przyprowadzić wszystko do porządku. U mnie to pójdzie jak z płatka — tylko teraz właśnie. Proszę cię, mój baronuniu, pożycz mi też pięćdziesiąt tysięcy.

Baron na stronie. Przeczuwałem to.

Pani Szenionowa. Powiedz mi, mój baronuniu, czy ci się podobała księżniczka Zofia? Ze mną bądź otwarcie. Między nami mówiąc, wszystko to odemnie zależy. Mój brat chce — o tem nie ma co gadać. Ale Zosia ma główkę i upрек; i jeśli jej kto nie przełamie, to gotowa tupnąć nóżką i powiedzieć: nie chcę. Ale nie bój się, baronuniu! ja mam na nią sposoby. Trzeba jednak, żebyś się starał jej podobać. Prawdę mówiąc, to ci nie trudno. Masz coś tak dystyngowanego, że możesz zawrócić główkę dziewczynie. I niejednę już pewnie zawróciłeś. O! patrzcie, jak spuszcza oczy. Uderza go wachlarzem. Tartuffe! O, znam ja was, świętoszki! Z wami to trzeba najostrożniej być biednym kobietom. Ale przyznaj się, baronuniu, czyś zakochany, czy tak tylko dla aliansu? Bo i z tego względu rzecz nie do odrzucenia. Księżniczka, i z pierwszych domów książęcych. Przytem i dobra znaczne. To partya choć dla Sanguszki.

Baron. Szczęśliwym byłbym, gdybym mógł zyskać względy księżniczki Zofii, choćby nie by-

ła księżniczką i nie miała posagu. Dzięki staranności mego ojca, mam...

Pani Szenionowa. O! tyś Krezus — wiem. A cóż, luby baronuniu? pięćdziesiąt tysięcy pożyczysz?

Baron. Nie mam teraz tyle swobodnego kapitału. Ale oto weksel na 2.000 rubli asygnacyjnych, które Aron może wypłacić natychmiast. Jeżeli się pani przyda...

Pani Szenionowa bierze i chowa za gors. Śmiejesz się, że ja tu chowam weksel. Bywały tu i inne dokumenta, mój baronuniu! *jadis!* chociaż ja i takie tu chowałam. Pamiętam, raz pod blachą tańczyliśmy długo. Ja walcowałam z Brzostowskim, który jak wiesz, należał do najpierwszych tancerzów. Wietrznik ten dostrzegł, że mi się z za gorsu wysunął papierek; a kochał się we mnie i okrutnie był zazdrosny. Wyobraźże sobie, mój drogi! jedną ręką mię trzyma, drugą zręcznie wychwytuje papier, i to wszystko w najszybszym obrocie walca; jak cię kocham, prawdę ci mówię. Stałam jak wryta — wszyscy na nas oczy obrócili. Ale jakże się zawstydził zazdrosnik — sądził, że to był słodki bilecik, a to był weksel na 20.000 złotych. Śmieje się. Naśmieliż się z niego wszyscy; szczególnie pani Vauban pokoju mu nie dała. Ale dać ci rewers na 2.000 rubli asygnacyjnych?

Baron. Niema potrzeby — niech się pani nie fatyguje.

Pani Szenionowa. O, nie, nie, dam ci rewers. Te rzeczy powinny się odbywać akuratnie pisze i mówi Zosia śliczna dziewczyna, z charakterem pewnym i stałym, i jeśli ci się uda zyskać jej serce, będziesz miał żonę jakich mało. Oddaje mu rewers. On go kładzie na stoliku. Pani Szenionowa ciągle mówiąc, zasuwą go nieznacznie między papiery. Ojciec sam wychowywał ją starannie, i zrobił z niej wielką filozofkę. Klóciłam się z nim zawsze, że nie chciał wziąć do niej pani Raulofs, która, wyobraź sobie, całą Żanlisę umiała na pamięć. Ale bądź jej wiernym, baronuniu! Bo to wy umiecie robić salto mortale, choć żona młoda i ładna. Trzpioty, trzpioty jesteście, mój baronuniu! Znałeś zapewne panią Adamową? Śliczna jak anioł, młoda kochała męża nad życie — ja byłam od niej mało nie dziesięć lat starsza — a on, wyobraź sobie. — Lokaj wchodzi z listem. Od kogo to?

Lokaj. Od pana grafa — ekonom przywiózł.

Pani Szenionowa przebiegając list. Coś tam bardzo pilnego. Tacy to wy wszyscy, mój baronuniu! Prosi mię mój brat, żebym przyjeżdżała natychmiast. Pozwól mi odpisać i rozpytać się posłańca. Zawołaj ekonomą do mego gabinetu. Lokaj wychodzi. Zostaniesz u mnie na obiedzie — proszę cię, baronuniu, zostań! Zosia przyjedzie; spodziewam się jej co moment — a będą raki, jakich jeszcze

nie jadłeś. Masz tam Forbina: przerzucaj go sobie tymczasem — c'est délicieux. Odchodzi.

Baron patrzy za nią uśmiechając się. Gdyby nie ten list i nie ten ekonom, siedzielibyśmy tu do północy, i nie wiem, jakby nam było wesoło. Stara intrygantka! Jaką ona drogą z Paryża trafiła do mojej kieszeni! Jest to już podobno ostatni egzemplarz, a ciekawy! Ktoś zajechał! czy nie księżniczka? Patrzy w okno. Nie, to jakiś młody mężczyzna. Dlaczego oni mię tu ciągną? O! domyślam się tej spekulacji.

Wchodzi Antoni Staroświecki i lokaj.

Antoni Starośw. Gdzież pani?

Lokaj. Niech się pan tu trochę zatrzyma. Pani odprawia posłańca. Baron i Staroświecki wzajem się sobie przypatrują.

Baron do lokaja. Powiedz mi, mój kochany, czy tędy można wejść do ogrodu?

Lokaj. Proszę jaśnie wielmożnego pana. Otwiera mu drzwi.

Baron. Powiedz tam, kochanku, memu człowiekowi, żeby mi wyniósł do ogrodu fajkę. Daje mu rubla i wychodzi.

Antoni Starośw. Kto jest ten młody człowiek?

Lokaj. To pan baron Izajewicz. Bogaty, mój panisku, bogaty, jak żyd.

Antoni Starośw. Słyszałem, słyszałem. Słychać turkot.

Lokaj. Znowu ktoś przyjechał. Wychodzi.

Antoni Starośw. przy oknie. To ona! Drzę cały, a przecież to jest szczęście, o którym mi się nawet nie śniło, gdym ją poznał. Wspaniała, dobra Zofia! Ale czemu się to może skończyć? Ha! czyż to mało dla mnie, jeżeli tylko iskierkę przyjaźni wyczytam w jej oczach? Kazała mi tu przyjechać — więc dla tego, aby się ze mną widzieć. O, to anioł! Zofia wchodzi zmieszana i drżąca — lokaj. Gdzie ciocia?

Lokaj. Pani odprawia posłańca. Jeśli jaśnie oświecona pani każe...

Zofia. Nie trzeba, nie przeszkadzaj ciocie — idź sobie. Lokaj wychodzi.

Antoni Starośw. bierze jej rękę. O pani moja!

Zofia oglądając. Chciałam pana widzieć, panie Staroświecki! Dowiedziałam się o waszem nie-szczęściu.

Antoni Starośw. Ze łzami czytałem słowa pani. O! gdyby mój biedny ojciec wiedział, jaki anioł się nad nami lituje!

Zofia. Widziałam twego ojca, panie Staroświecki! Słyszałam jego rozmowę z moim wujem. Jakże go szanuję, tego zacnego starca! Chciałabym z duszy wam pomóc — ale cóż ja mogę, sierota?

Antoni Starośw. całuje jej rękę. Nie dośćże tych słów twoich, Zofio?

Zofia. Ciocia wejść może. O! wierz pan mojej przychylności.

Antoni Starośw. klęka. Aniele dobroci!

Zofia. Wstań pan, na miłość boską!

Antoni Starośw. Jam występny, jam niegodny twojej litości — ja ciebie kocham, Zofio!

Zofia. Boże! co się ze mną dzieje?

Antoni Starośw. Łzy w twoich oczach! O chwilo szczęśliwa! całuje z uniesieniem jej rękę.

Zofia. Drogi! drogi panie Antoni! Pani Szenionowa wchodzi — Zofia przełęczniona odskakuje — Staroświecki staje zmieszany.

Pani Szenionowa. Aha! Właśnie pamiętam pod blachą...

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój w pałacu prezesa Zadzirowskiego. Lokaje suto galonowani ustawiają meble i sprzątają.

Pierwszy lokaj. Już, zdaje się, wszystko w porządku.

Drugi lokaj. A dyabli go tam wiedzą, co on tam jeszcze znajdzie, jak wyjdzie. Żywej duszy w domu niema, a codzień froteruj wszystkie posadzki, zapalaj wszystkie lampy, wszystkie kin-kiety, jak na bal.

Pierwszy lokaj. No, cóż robić? już nasz pan prezes tak lubi.

Drugi lokaj. A dyabliby go wzięli z tem wszystkim, co on lubi, kiedy człowiekowi ręce i nogi odpadają. I cóż z tej parady? Sam jeden

chodzi sobie po oświeconych pokojach, nos do góry, i puf! puf! cygarem, jak gdyby miech kowalski miał w brzuchu. I dyabli go wiedzą, skąd mu tyle wiatru stanie.

Trzeci lokaj wchodzi. Powiedźcie tam który panu, że jakichciś dwóch panów przyjechało i chcą się widzieć. Pokazuje rubla. Dali tryngielt i bardzo proszą.

Drugi lokaj. Chyba że dali. Idzie do drzwi gabinetu i spotyka się tam z prezesem, który go odtrąca.

Prezes. Durniu! mówiłem żeby nie wchodzić, póki nie zadzwonię.

Drugi lokaj. Tam, jaśnie wielmożny panie, dwóch jakichciś panów czeka.

Prezes. I mogą bezpiecznie czekać, kiedym zajęty. Kto nie ma pieniędzy, powinien mieć cierpliwość. Wołaj tego, który lepiej ubrany.

Drugi lokaj do siebie. A dyabliż ich wiedzą, który z nich lepiej ubrany. Wyehodzi.

Prezes. Ty idź, powiedz koniuszemu, żeby miał gotową karecę i angliczowane konie. — Czeka! — A! Rubelkowski niech będzie pod ręką. Pierwszy lokaj wychodzi. Prezes zapala cygaro, rozwała się na fotelu i kładzie nogi na drugim krześle.

Bartosz wchodzi i kłania się nisko. Jaśnie wielmożny panie!

Prezes. A! a! cóż mi asan powiesz, mój mości Bartoszewski?

Bartosz. Tak dawno nie miałem szczęścia widzieć jaśnie wielmożnego pana...

Prezes. Puf.

Bartosz. Jaśnie wielmożny pan był tak łaskaw, że mię dobrocią swoją w czasie wyborów ośmielił...

Prezes. Puf.

Bartosz. Jaśnie wielmożny pan zapewne pamięta, po owym pańskim obiedzie, na którym miałem honor znajdować się, jak mię jaśnie wielmożny pan łaskawie raczył uściskać.

Prezes. Puf.

Bartosz. Wtenczas jaśnie wielmożny pan mi szepnął: kochany Bartoszesiu! jak zbierzesz kapitalik i zechcesz pewnej lokacyi, i dobry procent...

Prezes. Puf.

Bartosz. Otóż teraz Pan Bóg mi dopomógł, jaśnie wielmożny panie, i przychodzę do łaski jaśnie wielmożnego pana. Chciej przytulić u siebie moją szlachecką chudobę.

Prezes. Ja, mój mosanie, pieniędzy nie potrzebuję.

Bartosz. Wiem, jaśnie wielmożny panie! Ależ jaśnie wielmożny pan wie, jak trudno teraz ulokować kilkaset groszy.

Prezes. Bankruty, mój mosanie, bankruty!

Bartosz. Nie wie człowiek, jaśnie wielmożny panie, gdzie się obrócić. A to także wiadomo, że u jaśnie wielmożnego pana pieniądze jak w kieszeni. Kłania. Proszę jaśnie wielmożnego pana. Sumka nie wielka — 15 tysięcy.

Prezes. A jakież asan chcesz procent?

Bartosz. A cóż, jaśnie wielmożny panie! ja człowiek na dorobku — siódmy, jeżeli łaska.

Prezes poruszając głową. Puf.

Bartosz. To choć szósty, jaśnie wielmożny panie!

Prezes dzwoni — lokaj wchodzi. Rubelkowskiego! — Ale cóż ja zrobię z asana pieniędzmi? do wchodzącego Rubelkowskiego Panie Rubelkowski! powiedz asan jegomości, ile masz gotowizny w kasie.

Rubelk. Trzykroć, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Puf. Cóż asan na to, mój mosanie?

Bartosz kłania się. Znajdzie się jeszcze miejsce i dla mojej chudoby, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Cóż ja mam już z asanem robić? — ale czwarty procent.

Bartosz. Szósty, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Idź asan do kogo innego.

Bartosz. Jakiż u nas kredyt, jaśnie wielmożny panie? — za swoją pracę potem się kłaniaj — a potem proces — a potem połowę kapitału, lub nic. — Zmiłuj się jaśnie wielmożny panie! — piąty.

Prezes ruszając głową. Puf.

Bartosz. Ha! cóż robić? — Niech już będzie, jak jaśnie wielmożny pan chce — do kontraktów.

Prezes. Panie Rubelkowski! idź asan z jegoomością do mego gabinetu i tam wygotuj weksel. Rubelkowski i Bartoszewski wychodzą. Dzwoni. — Lokaj wchodzi. Kto tam jeszcze?

Lokaj. Jakiś pan Brzydkiewicz.

Prezes. Wołaj. Lokaj otwiera drzwi. Brzydkiewicz w obwisłym szaraczkowym fraku, z białym kapeluszem i czerwoną chustką w rękę, wchodzi i prędko kłania się kilka razy. Któż asan jesteś?

Brzydk. prędko. Tymoteusz Brzydkiewicz, do usług jaśnie wielmożnego pana; stary szlachcic, urodzony w powiecie Łuckim, ale w dalszej jego części ku Polesiowi: bo jaśnie wielmożnemu panu wiadomo, że powiat Łucki sięga poza Dąbrowicę i Rafałówkę...

Prezes. Wiem, wiem — czegoż asan chcesz?

Brzydk. Lokacyjki, jaśnie wielmożny panie! jaśnie wielmożny pan dorobiłeś się ogromnego majątku, i bierzesz, słyszę, pieniądze na mały procent, a dajesz na większy. Cóż, jaśnie wielmożny panie? — to obrót. — Jeśli kto jaśnie wielmożnemu panu powierza swoją sumkę, widać że kontent. Nic w tem nieuczciwego, jaśnie wielmożny panie! byle była oddana.

Prezes. Idź asan sobie precz — ja pieniędzy nie potrzebuję.

Brzydk. podchodząc. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie! — ja wiem. Ale wielkiego procentu nie chcę, a chcę tylko pewności. Bo teraz pewność rzadka, a w kieszeniach u naszych panów tak, jak na mojej głowie — jaśnie wielmożny pan widzi. — Inaczej było, gdym był młody i gdym był pisarczukiem w Radziwiłow-

szczyźnie, gdzie ojciec jaśnie wielmożnego pana był rządcą.

Prezes zrywa się. Ale idźże asan sobie do dyabła, ja pieniędzy nie chcę.

Brzydk. bliżej podchodząc. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie! — Pieniądze pieniędzmi, a to, co ja mówię, to nie dlatego, żeby jaśnie wielmożnemu panu ubliżać: bo owszem, ja to uważam za zasługę, kiedy kto z niczego dochodzi do fortuny. Czyż to krzywdzi ojca jaśnie wielmożnego pana, że był chłopcem u pana Orzeszki, z którym się uczył w Pińsku, a potem wyszedł na pisarza prowentowego, a potem na rządcę, a potem na komisarza, a potem kupił wielki majątek? Nie, jaśnie wielmożny panie! ja mu to za zaszczyt poczytuję, że z komisaryi przeszedł do własnego pałacu. Gorzej tym, co z pałaców i własnych zamków przechodzą do izby szlachcica, tak, że wielki tytuł, jaśnie wielmożny panie, sam nie wie którądy wejść; ani drzwiami, ani oknem zmieścić się nie może.

Prezes. A, żebyś asan przepadł! — ja pieniędzy nie wezmę — idź sobie!

Brzydk. Nie idzie za tem — weźmiesz, jaśnie wielmożny panie.

Prezes. Ale nie wezmę, nie wezmę, do milion dyabłów!

Brzydk. Milion jeden i drugi jest, a będzie ich i więcej, jeżeli jaśnie wielmożny pan będziesz

tak rzetelnie postępował, jak dotąd. — Wziąć na piąty, oddać na dziesiąty, a przy okazji i na piętnasty... cóż to złego? pytam się jaśnie wielmożnego pana. Oddać wiernie, to grunt. Kredyt, akuratność, to fundament, jaśnie wielmożny panie! Tem to i ś. p. ojciec jaśnie wielmożnego pana wygrał. Miał kredyt, wierzyli mu, on i korzystał z tego. Ja jakoś nie miałem tego rozumu, jaśnie wielmożny panie! Wyszliśmy z jednej wsi, ale cóż? dwom drzewom w jednym lesie nie jednakowo bywa: jedno wyrośnie na maszt, jaśnie wielmożny panie, a drugie na tyczkę do fasoli — otóż tak jaśnie wielmożny pan i ja, Tymoteusz Brzydkiewicz, do usług jaśnie wielmożnego pana.

Prezes. Kończże asan, do wszystkich dyabłów, bo cię każę za drzwi wypchnąć.

Brzydk. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie! — u mnie język długi, jaśnie wielmożny panie!

Prezes zaambarasowany. Ileż masz kapitału?

Brzydk. Dwadzieścia pięć tysięcy, jaśnie wielmożny panie! a jak to zebrałem...

Prezes. Ale co mi tam do tego? — Jaki procent asan chcesz?

Brzydk. Ósmy, ósmy, jaśnie wielmożny panie! jaśnie wielmożny pan oddasz na 10-ty — ja to wiem.

Prezes. Kłamiesz asan. Ja na 10-ty nie

oddaje i na ośmy nie biore. Bartoszewski oddał na trzeci.

Brzydk. Jaśnie wielmożny pan chcesz złapać; ale ja nie fryc, jaśnie wielmożny panie! Z ojcem jaśnie wielmożnego pana służyłem razem. Żeby nie wiele gadać, jaśnie wielmożny panie, ostatnie słowo: szósty i basta. Podaje mu rękę.

Prezes. Nu, zgoda i idź asan sobie do dyabła — a jak słowo piśniesz, jak Boga kocham, bez procesu nie oddam.

Brzydk. I procent z góry, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. No, z góry, z góry, bylebyś z pierwszej góry kark złamał.

Brzydk. Nie idzie za tem, jaśnie wielmożny panie!

Prezes przy drzwiach gabinetu. Rubelkowski! Ten wchodzi. Weź asan od tego jegomości dwadzieścia pięć tsięcy i szósty procent wypłać mu asan z góry. — Do Brzydkiewicza. A język za zębami, bardzo proszę!

Brzydk. O! mam rozum, jaśnie wielmożny panie! — ja wiem gdzie? co? i jak? jaśnie wielmożny panie!

Prezes. No, idź już asan, idź! Rubelkowski i Brzydkiewicz wchodzi. A to mi dyabli nasłali tego brzydala! Lokaj wchodzi.

Lokaj. Pan komornik Staroświecki.

Prezes. Czegoż znowu ten chce? — No, prosz. Rozwała się jak pierwej i zapala cygaro. Komornik wchodzi.

Jak się masz, kochany komorniku? Cóż to cię do mnie sprowadza? Coś zmizerniałeś.

Komornik. Bieda mnie przygniotła i do jaśnie wielmożnego pana sprowadza.

Prezes. Cóż to takiego? — Ale usiądź, usiądź, komorniku.

Komornik. Pogorzałem, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. U!

Komornik. Jeszczeby to było nic, jaśnie wielmożny panie! — Co z dopuszczenia Bożego mię spotyka, to umiem znosić z pokorą. Ale kiedy ludzie krzywdzą, a zwłaszcza ci, coby powinni mieć wspaniałe serce, to boleśnie znosić.

Prezes. Narachowali ci pewnie pretensję grubą.

Komornik. Narachowali, jaśnie wielmożny panie, i muszę zapłacić 16 tysięcy. W tym to interesie przychodzę do łaski jaśnie wielmożnego pana. Wiem, że termin mój dopiero za pięć miesięcy; ale jaśnie wielmożnemu panu to nie zrobi różnicy.

Prezes. Puf!

Komornik. Każ mi jaśnie wielmożny pan wypłacić mój kapitalik i procent za siedm miesięcy. Oddam, abym nie miał potrzeby kłaniać się człowiekowi, który...

Prezes. On bankrut, mój komorniku!

Komornik. To go nie usprawiedliwia. Zapłotać fortunę swoją i żony — to niejednen z naszych panów zrobił; ale krzywdą bliźniego chcieć łatać

dziury, zrobione przez głupstwo i próżność, tego nie zrobi żaden. — Proszę jaśnie wielmożnego pana dać rozkaz...

Prezes dzwoni, lokaj wchodzi. Rubelkowskiego! — Lokaj wychodzi. Nie wiem, mój panie komorniku, czy ci będę mógł usłużyć. Teraz o pieniądze trudno. Jak Boga kocham, takich czasów nie pamiętam. Przedaży niema, kredyt powszechny upadł, gotowizna skryła się — źle, doprawdy. Rubelkowski wchodzi. Słuchaj-no Rubelkowski! komornik chce teraz przed terminem odebrać swój kapitał. — Czy masz tam co w kasie?

Rubelkowski. Pustki, jaśnie wielmożny panie! — osiem do dziesięciu tysięcy złotych, i to na codzienne wydatki. Chyba ze szkatułki jaśnie wielmożnego pana...

Prezes. Idź asan. Rubelkowski wychodzi.

Komornik wstaje. Tak nie otrzymam nic od jaśnie wielmożnego pana?

Prezes. I hrabia nie daje się uprosić? — nie mógłże by zaczekać?

Komornik. Nie chce, jaśnie wielmożny panie! zagraża mi sądem i sprzedażą remanentów.

Prezes. Toż mi żal asana, panie komorniku! — a jak Boga kocham, nie mam w kasie gotowizny. Chybaby... Chciałoby mi się bardzo wyprowadzić cię z biedy. — Ile tam?

Komornik wydobywając weksel. Piętnaście tysięcy, jaśnie wielmożny panie!

Prezes. Wiesz asan co, panie komorniku? weź siedem, i będzie kwita. Tyle znajdę.

Komornik. Jaśnie wielmożny pan żartuje.

Prezes. Czyż to mało? — Termin za pięć miesięcy. — No, weź dziewięć. Więcej nie dam, jak Boga kocham.

Komornik chowa weksel i ogląda się w około. Co tu złota! co bronzów! jakie zwierciadła! jakie lśniące ściany! jakie błyszczące posadzki! — Przepyszny jaśnie wielmożny pan masz pałac.

Prezes. Puf!

Komornik. Jednej rzeczy przecież jaśnie wielmożnemu panu niestaje.

Prezes. Czegoż to, komorniku?

Komornik. Brody, jaśnie wielmożny Panie! Kłania się i wychodzi.

Prezes dzwoni — lokaj wchodzi. Śniadanie! Wychodzi — lokaj za nim.

SCENA II.

Księgarnia. — Półki jeszcze puste. Wchodzi księgarz *Goldberg*, za nim jego pomocnik.

Goldberg. A żeby cię Pan Bóg skarał, coś mi narobił.

Pomocnik. Ale cóżem ja temu winien?

Goldberg. Jarmark się zaczyna, a nasze półki puste. Na tysiąc rubli srebrnych będę miał straty. Czego z początku nie kupią, póki mają pieniądze, to potem nie będzie kupione. Ten się zgra; tego

kredytor przycisnie; tamten wina nakupi; tamten się do jakiej szkapy zapali; tamtemu żona wszystkie pieniądze u Szafnagla zostawi — a na książki nie stanie. No! idźże asan zobacz, czy nie jada? Pomocnik wychodzi. — Wchodzi Antoni Staroświecki.

Antoni Starośw. Czy pan jesteś pan Goldberg?

Goldberg. Do usług. — Ale pan widzisz, że półki moje jeszcze nie napełnione. Za godzinę spodziewam się transportu. Proszę pana jutro.

Antoni Starośw. Ja mam inny interes do pana Goldberga. Oto jest rękopism, który chciałem wydrukować. Poemat, kilka powieści i parę rozpraw literackich.

Goldberg zająkując się w pierwszej frazie. Możemy wydrukować. Pokaż pan. Będzie arkuszy ośm drukowanych. — Ale niema nazwiska na tytule.

Antoni Starośw. Chcę, aby to wyszło bezimiennie. Gdybym się znajdował w innem położeniu, prosiłbym tylko pana, aby edycja była poprawna, i nic więcej. Ale nieszczęściem potrzebuję wzmiankę zrobić i o kondycjach. Co mi pan dasz za ten rękopism?

Goldberg zająkując się. Panie dobrodzieju! to delikatna materya.

Młody człowiek we drzwiach. Witolorauda Kraszewskiego jest?

Goldberg. Jutro proszę pana. Kupujący odchodzi. Widzisz pan, trzeba mieć imię. Ja kupiec, łożę kapitał — a ja pana nie znam.

Antoni Starośw. Nic słusniejszego. Ale daj pan komu przeczytać, co się zna na tem i komu pan ufasz.

Goldberg. Ja nie mam czasu tem się zajmować. My płacimy imiona gotowe. Koszta druku wielkie — nasz handel bardzo ślizki.

Dama we drzwiach. Literatura i krytyka jest?

Goldberg. Jutro proszę pani; jeszcze nie rozpakowana. Dama wychodzi. Widzi pan dobrodziej, jakie to dzieła pokupne. — Może to i dobre, coś pan napisał — ale nakład, to ryzyko.

Antoni Starośw. Więc nie ma nadziei? Do siebie. Myślałem, że choć tysiącem złotych ojcu pomogę.

Goldberg. Ja nie mówię, żeby tego nie drukować. Owszem, dam druk piękny, papier welinowy, okładki żółte i z gockimi ozdobami, i niedrogo, niech pan wierzy.

Pan z gwiazdą we drzwiach. Mięszaniny Obyczajowe są?

Goldberg. Są, jaśnie wielmożny panie! ale proszę jutro — jeszcze nie rozpakowane. Pan odchodzi. Słyszysz pan, o kogo tu pytają? Otóż to mi jest towar. Ja wiem, co kupić. Innego autora i chwałę, a ja go nie wydrukuję swoim kosztem. Bo często pochwały są na nas księgarzy samolówki. Ale ja, panie dobrodzieju, doświadczony filut, ja na nie nie wlecę.

Panienska we drzwiach. Pielgrzymka do Ziemi Świętej jest?

Goldberg. Jest, panienczko, ale proszę jutro. Panienska odchodzi. Widzisz pan sam, czego potrzeba. — Książka poważna, a nawet młodzież ją zna i chce czytać.

Antoni Starośw. z westchnieniem. Szczęśliwi! O! zazdrościłbym im tej czci ziomków, gdyby mniej na nią zasługiwali. Pociera ręką po czole. Ha! może też i ja kiedy — droga otwarta — przykład jest i sił wystarczy.

Goldberg. Otóż to pięknie, że pan takie masz przedsięwzięcie. Będziemy drukować. A już jak ja pana poproszę: daj mi pan rękopism! możesz pan być pewnym, żeś wart czytania. Bo ja, panie dobrodzieju, jestem ciepłomierz, na który młody zwłaszcza autor patrzeć powinien, i ja pana lepiej poprowadzę, niż ci przyjaciele, co proszeni i nieproszeni występują z radami. I żeby pana przekonać, że ja już przeczuwam w panu dobry towar, to rękopism wezmę.

Antoni Starośw. Dziękuję ci, panie Goldberg! Później co innego dam ci darmo; a teraz, Bóg mi świadkiem, nie dla siebie potrzebuję tysięcy złotych.

Goldberg zająkując się. Panie dobrodzieju! to delikatna materya. Ja mówię, że rękopism na własność wezmę. Panu dobrodziejowi dam 20 egzemplarzy na welinowym papierze; ale pan dobrodziej dopłacisz mi 200 karbowanych.

Antoni Starośw. odbierając rękopism. Wolę drukować swoim kosztem.

Goldberg. Wielka różnica, panie dobrodzieju! — Będzie leżeć i nikt nie napisze o tem ani słowa. — Ale wiesz pan co? ja widzę, co z pana być może, i dlatego proszę posłuchać mojej rady. Oto: ukłoń się pan i poproś którego ze znakomitych estetyków, niech rękopism przejrzy; jeżeli będzie na pana łaskaw, napisze o tem wprzód jaki monumentalny artykuł. Artykuł się wydrukuje, oczekiwanie się obudzi, — a wtenczas pomówimy o kondycjach.

Antoni Starośw. Nie, panie Goldberg! — Szczęśliwym byłbym, gdyby moje dzieło po wydrukowaniu zasłużyło na poważny rozbiór którego z tych znakomitych pisarzy. Ukłonię się im chętnie, gdy się z którym z nich spotkam. Ale mój pokłon będzie bezinteresownym hołdem ich wyższości, a nie żebraniną. Jałmużny nie przyjmę.

Goldberg. Toż ja inaczej nie mogę. Bo jakże pan chcesz, abymłożył koszt na tak zawziętego anonima? Gdyby tu przynajmniej na tytule było: przez hrabiego takiego to — lub księcia takiego to... lub gdybyś się pan przynajmniej rodził z matki, pochodzącej z rodów historycznych, i gdyby to można wetknąć gdzie choć w przedmowę lub w dedykację jakiej babce lub ciotce... wtenczas chętniejbym zaryzykował: bo to, widzi pan, działa i na publiczność i na krytykę.

Antoni Starośw. Co też pan wygadujesz, panie Goldberg?

Goldberg. Rzeczy jasne, jak słońce, panie dobrodzieju! Jeżeli jedynie potomkowie rodów historycznych mogą mieć piękne rysy talentu, to ani jednego, ani drugiego oczekiwać nie można od zaimprovizowanych dziedziców podejrzanego szlachectwa.

Antoni Starośw. Brednie, panie Goldberg, wierutne brednie. — Nikogo to bardziej nie raduje, jak mnie, że dziś u nas ludzie znakomitych rodzin biorą się tak szczerze do nauki i do pióra; ale żeby mieli przywilej na geniusz, tak jak mają na inne rzeczy, to nieprawda, panie Goldberg! Zgadzam się, że im wszystko łatwiej przychodzi, niż nam biedakom. Tyle starań, tyle kosztów łoży się na ich wychowanie; mają wszystkie środki pod ręką; mogą podróżować i poznawać świat i ludzi ze świata i ludzi, a nie z martwej litery; wszystko, co wychodzi nowego, mają za co kupić, i mają czas przeczytać: bo cały ten czas jest ich własnością, bo żaden obowiązek nie mać im pokoju, nie wykrada chwil często najprzyjaźniejszych; bo żadna myśl przykra o przyszłości nie siedzi, jak gwoździć, w ich głowie. Cóż dziwnego, że się oświeca ich rozum, bogacą wiadomości, rozwija talent, jeżeli jest? Cóż dziwnego, że jeśli się ten talent objawi, łatwo i prędko zyskuje wziętość, gdy do imienia już

zrobionego przydaje nową ozdobę, gdy łuna świetnej przeszłości uderza oczy krytyki i często samą publiczność uślepia? — A my, panie Goldberg, chodzimy do szkół bez butów; walczymy z głodem i zimnem, żeby tylko je skończyć; dzień cały uczymy żaków deklinacyi i konjugacyi, a noc całą, przy łojowej świeczce, uczymy się sami. Gdy opuścimy mury szkolne, gdy się obejrzymy po szerokim świecie, postrzegamy wtenczas, że nam niema się gdzie podziać, i na nową występujemy walkę z niedostatkiem, z upokorzeniem, ze srogością losu i egoizmu ludzi. Bez książek, bez zasobu, przykuci nieraz w jakim ciemnym kącie, niewolnicy ladajakiego obowiązku, kaprysu i pychy jakiego głupca, dobijamy się wiadomości i gromadzimy z móżdżem ziarnko do ziarnka. Jakiejże to potrzeba wiary w siebie, aby nie zmarniał talent, jeżeli jest? jakiego hartu duszy, aby natchnienie nie ostygło w zimnej izbie, i zapał nie wywiał się przez szpary dziurawego surduta? Długą pracą, bezsennymi nocami, bolesnem tarciem się z szorstkim światem, wydobywa się z motłochu gminne imię, wyrabia się z niczego, i ledwie pod koniec mozolnej drogi przychodzi na ten punkt, gdzie imię wielkiego pana postawiono już wtenczas, gdy był ledwie zawinięty w pieluszki. — Bądź pan zdrow, panie Goldberg! Niech ci Bóg wybaczy, żeś mi rozwiął piękne mary i zniszczył złote nadzieje. Wychodzi.

Goldberg. Będzie z niego dobry towar — ja to już czuję — bom ja ciepłomierz.

Pomocnik wbiega. Transport!

Goldberg. No! chwała Bogu! Wychodzą.

SCENA III.

Pokój w mieszkaniu hrabiego w Berdyczewie. *Hrabia* przechadza się; *Hrabina* siedzi w swoim krześle.

Pani Szenionowa.

Hrabia. I jakżeż? Powiedziała wyraźnie i stanowczo, że nic chce?

Pani Szenionowa. Ale tak wyraźnie, jak ja, pamiętasz, odpowiedziałam księciu Januszowi, gdy mi już był wpadł w oko pan Szenion.

Hrabia. Stare androny! Księżę Janusz tak o tobie myślał, jak ja o cesarzu chińskim.

Pani Szenionowa. Ale zmiłuj się, Kaziu! — oświadczał się, jak cię kocham.

Hrabia. Co za uparta dziewczyna! Młody, przystojny, edukowany mężczyzna — i sto tysięcy intraty.

Pani Szenionowa. Nie ma do niego serca. A prawdę mówiąc, baron sam sobie winien. Jest tak zimny, tak umiarkowany, że widać z pierwszego rzutu oka, że w nim niema pasyi. My kobiety mamy na to wzrok sokoli. Pamiętam, raz była o tem mowa pod Blachą...

Hrabia. Ale przestańże, na miły Bóg, z tą Blachą! Lepiej mi gorącego ołowiu w uszy nalej.

Wszystkiemuś winna, pani siostrze! Przyjęłaś w dom hołysza, i dopuściłaś, żeby w twoich oczach rozmarzyła się głowa dziewczynie. Wolałabyś była sama się w nim zakochać.

Pani Szenionowa. Ha! ha! toby była rzecz zabawna w moim wieku.

Hrabina. Co za szczególna idea!

Pani Szenionowa. Cóż myślisz, siostruniu? — to bywa. Pamiętam, gdyśmy byli na wieży w Strasburgu, spotkaliśmy tam drugą kompanię...

Hrabia. Otóż ją i macie! Ależ...

Pani Szenionowa. Młody, śliczny mężczyzna prowadził pod rękę damę już w wieku, ale jeszcze żywą, ruchawą i wcale nieszpętną. Ile razy teraz spojrzę w lustro, to ją sobie przypominam. Wówczas nie byłyśmy do siebie podobne: bo to było w roku 18... którymciś... Kiedyż-to był kongres w Akwisgranie, Kaziu?

Hrabia. Daj mi tam święty pokój.

Pani Szenionowa. Otóż wyobraź sobie, siostruniu, że to byli kochankowie, jakem się później dowiedziała. Ona hrabina Kranach, a on jakiś młody poeta z geniuszem.

Hrabina. Ładnaż sobie obrał mużę! Prawdziwie śmiałabym się, moja siostrze, gdyby nie ta migrena.

Pani Szenionowa. Jak cię kocham, siostruniu, prawda.

Hrabia przechadzając się. Prawda! prawda!

Pani Szenionowa. Kochali się, powiadam ci, jak gołąbki. Ona długo mu perswadowała, ale on oświadczył jej, że się utopi, jeśli mu nie będzie wzajemna. Wyobraźże sobie, gdyśmy ich potem spotkali w Heidelbergu w beczce...

Hrabia. Teofilo! przestan-że pleść od rzeczy, bo, na honor, gniewać się będę. Wolałbym, żeby was byli w beczce heidelbergskiej piwem zaleli; tobyś mi tu takiego piwa nie była nawarzyła, że nie wiem, jak je wypiję.

Hrabina. Ale prawdziwie, mój Kaziu, nie pojmuję, dla czego tak do serca bierzesz, że Zosia nie chce być baronową Izajewiczową? Nie zaprzeczam, że ten pan baron ma coś bardzo dystyngowanego i jest nadzwyczajnie przyzwoicie, ale to jego pochodzenie, ta ekstrakcja...

Hrabia. Proszę cię, moja Heluniu, nie mieszaj się do tego. Ja wiem co robię.

Hrabina. Ależ, mój Kaziu, mnie to także nadzwyczajnie interesuje...

Kamerdynier wchodzi. Szafnagiel przysłał jasnej pani powiedzieć, że nowy transport rozpakowany, i że nie zacznie przedawać, póki jasna pani nie obaczy.

Hrabia wstaje. Jaki obligujący mężczyzna! — Konie!

Kamerdynier. Kareta gotowa.

Hrabina. Niech zajeżdża! Wychodzi, kamerdynier za nią.

Hrabia z uśmiechem. Interesuje! Słuchaj, moja

siostro! porzuć, na miłość boską, wszystkie twoje improwizacye, choćby cię potomność do najwznioślejszych bardów przyliczyć miała. Rozsądnie i po prostu, zmiłuj się, napraw mi ten interes; bo ja ci powiadam, że jeżeli się to nie skojarzy, to mię zarzniecie.

Lokaj wchodzi. Baron Izajewicz.

Hrabia.. Proś! — Otóż w porę. — Zostawiam was. — Tylko, moja Teofilo, nie jedź pod Blachę, ale zostań tu w Berdyczewie, i użyj całej polityki...

Pani Szenionowa. Bądź spokojny. — Pamiętam, raz u pani Tyzenhauzowej jedliśmy szparagi z sosem à la Joseph...

Hrabia. A niechże cię Pan Bóg sekunduje! Wychodzi. Baron wchodzi.

Pani Szenionowa. Baronuniu! źle idą nasze interesa! — Zosia nie chce.

Baron. Czy tak? a jam sądził przeciwnie. Biegłem tu z piękną nadzieją: księżniczka przysłała za mną i kazała mi powiedzieć, że bardzo pragnie ze mną się widzieć. Wziąłem to za dobrą wróżbę.

Pani Szenionowa na stronie. Może się namyśliła! kto ją zgadnie? Śmieje się głośno. A widzisz, baronuniu, jakiegom ci Piotra napędziła. Umyślnie, umyślnie, mój baronuniu! — Chciałam obaczyć, czy zbledniesz, czy ci się robi słabo? Chciałam poznać, w jakim stopniu twoja pasya? — Aleś mężny! — No, podziękuj mi, baronuniu! Podaje

mu rękę. Usunęłam wiele trudności; a było już bardzo źle. Pamiętasz, jakeś był u mnie, widziałeś tego młodego człowieka, który wkrótce wyjechał. Otóż to twój rywal, baronuniu! Syn biednego posesora, ale przystojny i z głową. Tylko, tylko co się Zosia w nim nie zakochała, jak niegdyś ja w panu Szenionie. Alem ja jej wybiła z głowy te romanse.

Baron. Nieskończeniem pani wdzięczny — jednakże jeśli...

Pani Szenionowa. O tem niema już co mówić. Une lubie de jeune fille! Czy też uwierzysz, mój baronuniu, że ten niezdolny marszałek chce mi tradować majątek? I wyobraź sobie, o co mu idzie? — o głupie pięćdziesiąt tysięcy. Zmiłuj się baronuniu, wybaw mię tą razą, a o panu posesorowiczu nie myśl — już ja w tem — Cóż? dasz, baronuniu? Oto wszystko gotowe: napisz do swego bankiera, i rzecz skończona.

Baron. Pozwól mi pani odłożyć to do innego czasu. Te finansowe interesa z interesami serca niedobrze się wiążą.

Pani Szenionowa. Pamiętajże, baronuniu, żeś mi obiecał pięćdziesiąt tysięcy. Napisać ci rewers?

Baron. Ależ pani dobrodziejko...

Pani Szenionowa. Choć teraz zajęty jesteś tylko sercem, przygotuj się jednak, baronuniu, na te drobiazgi gospodarskie. Czy wiesz, że dobra Zosi okrutnie zrujnowane wziął mój brat w opiekę?

Naturalnie musiał na nie wiele łożyć. Jak się ożenisz i rozpatrzysz, to będziesz wdzięczny memu bratu. Tylko, zmiłuj się, on taki drażliwy! jeżeli tam co nie będzie tak akuratnie, zakwitujcie go z Zosią bez szykan. Bo przyznaj sam, że cudze kłopoty gorsze od swoich. Taki człowiek, jak mój brat, mógł tam czego nie dopatrzeć — a nasi oficyaliści złodzieje wierutni, z pod rąk kradną...

Baron do siebie. Domyślałem się tej spekulacji. Już mię i Pazurkiewicz macał.

Pani Szenionowa. Jak mię marszałek przyciśnie, to go przyślę do ciebie, baronuniu! — dobrze? Już widzę z twoich oczu, że się na wszystko zgadzasz. Zofia wchodzi.

Pani Szenionowa. Otóż i narzeczona. Do Zofii. Tylko się nie dróż, Zosiu! — miej rozum, bo powiem wszystko — wiesz! — Ale skąd ci przyszło do głowy mówić pierwej, że nie chcesz? Postawiłaś mię w takim ambarasie!

Zofia. Kochana ciociu! ja chciałam pomówić z panem baronem. Całuje ją w rękę. Moja ciociuniu! zostaw nas samych.

Pani Szenionowa. A! — un tête-à-tête. — Pamiętam podobne zdarzenie...

Zofia całuje ją w rękę — z cicha. Pod Blachą, droga ciociu!

Pani Szenionowa klepie ją po twarzy. — Méchante! — no, idę, idę. — A pamiętaj, baronuniu, coś mi obiecał. Wychodzi

Baron. Stawię się na rozkaz pani. Szczęśliwym będę, jeżeli pani łaskawie przyjąć raczysz...

Zofia siada. Niech pan siada, panie baronie! Nie miałam sposobności poznać pana tyle, ilebym sobie życzyła. Zdaje mi się jednak, że z panem można mówić otwarcie i żądać od niego szczerości. Proszę pana nadewszystko, abys pan przyjął to, co powiem, za dowód, jak wysoko cenię wychowanie i charakter pana.

Baron smutno. Słowa pani pochlebne, ale zastraszające. Wszakże nie zawiedziesz się pani na tem chlubnem o mnie mniemaniu, choćbym miał je drogo opłacić.

Zofia. Pan starasz się o moją rękę i oświadczyłeś swoje życzenia memu wujowi?

Baron. Nie miałem dotąd śmiałości wynurzyć je pani. Chciałem wprzód zasłużyć na względy pani; a jeśli pan hrabia pospieszył się z oświadczeniem moich zamiarów, chciej pani wierzyć mojemu słowu, że to nie moja wina.

Zofia. Wierzę, panie baronie! — Ale powiedz mi otwarcie, proszę cię, co ci natchnęło myśl żenienia się zemną? czy własne twoje serce, czy obce insynuacje i namowy? — Mam ważny powód myśleć, że to ostatnie.

Baron. Obiecałem być wiernym i przyznaję, że pierwiastkowo to ostatnie. Nie śmiałybym był nigdy z własnego popędu rościć sobie prawa do ręki pani. Urodziłem się wprawdzie chrześcijani-

nem; ale mój ojciec był żyd. Majątek i jakiegokolwiek wychowanie nie usuwały tego przedziału, jaki widziałem między sobą i panią. Oceniam siebie w każdym zdarzeniu dostatecznie i przyuczyłem za młodu me serce do uległości rozkazom rozsądku. Tymczasem, przez inną osobę odebrałem od wuja pani insynuację i zachęcenie; później ośmielił mię sam: później ciotka pani upewniała mię, że wszystkie trudności ułatwione. Wdzięki pani i nieporównane przymioty jej serca dokonały tego, co zaczęli jej krewni, których celów objaśniać pani nie będę, chociaż się ich domyślam.

Zofia. Znam je, panie baronie, i, niestety! widzę, że nie są czyste. Cieszy mnie to przynajmniej, że za narzędzie swojej interesowności użyli zanego człowieka, którego mogę szacować i którego serca odpowiedzią moją nie zranię. Ja pana kochać nie mogę, i ręki mojej pan nie otrzymasz. Nie myśl pan, żebym nie ceniła twoich przymiotów. O! nie, bynajmniej! Ale serce moje nie jest wolne. Człowiek, który je zajął, zajął je bez podziału i na zawsze. Chociaż biedny, postanowiłam mu oddać swą rękę. Nie powstydzę się nosić jego nieznane imię, bo jego rozum i dusza przewyższa stokroć wszystkie tytuły i godności. — Może się panu dziwnemi wydadzą te słowa i ta otwartość w ustach młodej dziewczyny? — O! panie baronie! ja już dawno

przystałam być dzieckiem. Sierota prędko dojrzewa i uczy się zawczasu myśleć. Spaczone wychowanie zwykle opóźnia dojrzałość naszą. A mnie wychował mój ojciec, człowiek poważny i samotny. Ja byłam jedyną jego pociechą, jedyną towarzyszką, jedynym celem jego życia; i już w jedenastym roku polubiłam jego nauki, jego rozmowę, zaczynałam pojmować i rozumieć jego widoki i uczucia. Schyla głowę i milczy — po chwili. Ale dla czegoż pan tak pobladł, panie baronie? Czy to panu przykre, com powiedziała? — O! nie gniewaj się pan na mnie, żem ci odmówiła. Pan wierzysz mi zapewne, że nie mam innego powodu, oprócz tego, o którym wspomniałam. Ja, panie baronie, w każdym moim wyborze przenoszę rozum i serce nad pochodzenie.

Baron powstaje. Bądź pani zdrowa i szczęśliwa. — Jutro wyjeżdżam z kraju, i może na bardzo długo. Miałem zawsze za złe memu ojcu, że odstąpił religii swych przodków i postawił mnie w społeczności w tak niemiłym położeniu. Pani mnie z nim pogodziłaś. O! wdzięczny mu dziś jestem, że mnie wiarą i językiem bliżej złączył z narodem, wśród którego mogła powstać i wychować się taka, jak pani, kobieta.

Zofia podając mu rękę. Ja pana szczerze szacuję, panie baronie! Baron całuje z uczuciem jej rękę, i odchodzą się.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Kwatera pana komornika w Berdyczewie. — *Komornik* siedzi zamyślony.

Komornik. Rachuję i przerachowuję — zawsze tylko cztery tysiące: dwa moich, dwa zebranych od przyjaciół. Trzeba jeszcze dwanaście. Wstaje. Źli ludzie! Egoizm, jak mróz, ścisnął w lód wszystkie szlachetne uczucia. Jedna to z tych prób, przez które nas ręka Twoja, Stwórco, przeprowadza. Ty wiesz, czego nam potrzeba. Wchodzi Antoni Staroświecki.

Antoni Starośw. Mój ojcze! przyjechał Stefan z Byszówki. — Ale nie trwożże się tak, mój ojcze!

Komornik. I cóż?

Antoni Starośw. Niegodziwi! Opisali cały nasz remanent; opieczętowali wszystkie rzeczy i dom; a mamie zostawili tylko jeden pusty pokoik.

Komornik odchodzi na bok. „Pod Twoją obronę uciekam się, Święta Boża Rodzicielko!“ Kończy modlitwę cicho i stoi w milczeniu.

Antoni Starośw. Bądź dobrej myśli, mój ojcze! Ja pomieszam ich szyki.

Komornik. Czy masz pieniądze, mój synu?

Antoni Starośw. Nie mam, mój ojcze! Chciałem ci choć cokolwiek przydać ze swego. Byłem u księgarza z rękopismem i doznałem tylko — upokorzenia.

Komornik. Nie ostatnie to, mój Antosiu, w tym zawodzie.

Antoni Starośw. Mniejsza o to, mój ojczy! Sława, jeśli ma przyjść, to przyjdzie, a o pieniądze nie dbam. Słuchaj, mój dobry ojczy! Szczęśliwszym jestem, niżelim mógł kiedykolwiek marzyć w najpiękniejszych moich rojeniach.

Komornik siada. Cieszę się twojem szczęściem, mój synu. Ozłaca ono moją biedę. Ale cóż się zdarzyło takiego? niech wiem!

Antoni Starośw. Wstydzilem się dotąd mówić ci o tem, mój ojczy! Ty, człowiek doświadczony i rozważny, wziąłbyś był moje szczęście za mary imaginacyi, za próżność młodego poety, za głupstwo nieuważnego samochwalcy. Dziś przyszedł czas pocieszyć cię słodką pewnością. Ten anioł dobroci i piękności — wszak sam ją tak nazywasz, mój ojczy!...

Komornik. Księżniczka Zofia! bez wątpienia ona zasługuje na to nazwanie. Seryo. Ale nie rozumiem cię, mój synu! Jeśli o jej wspaniałości chcesz mówić, cóż nam ona pomoże? Oni i ją oszukają, i mnie obedrą. Na słabym gruncie oparłeś moją pociechę, mój synu!

Antoni Starośw. O! nie o to tu idzie, mój ojczy! — Niech nas obdzierają, niech sami obdzierają siebie z dawnych zaszczytów i zstępują z tej wysokości, na której ich postawiły cnoty naddziadów. Los podał mi sposobność zemścić

się za ich nieludzkość; upokorzyć tę dumę, która się już teraz opiera tylko na próchnie. Mój ojczy: księżniczka Zofia mnie kocha i będzie moją żoną.

Komornik. Co? co? — Śmiałeś więc waść odurzać gładkimi słowy młodość tej pani? wciskać się, jak złodziej, w jej niewinne serce, kiedy nie masz żadnego prawa w niem gościć? śmiałeś chcieć zniżyć tę kobietę, przeznaczoną jaśnieć w najpierwszym domu tego kraju i być przykładem dawnych cnót i obyczajów? chciałeś być intruzem między panami, aby z ciebie szydzili? — Tak więc waść użyłeś tego wychowania, którem ci dał, ujmując sobie ostatnie? taką mi pociechę przynosisz w mojem nieszczęściu? — Precz mi z oczu!

Antoni Starośw. w osłupieniu. Ojczy! ojczy! zlituj się nademną. Gniew twój niezasłużony. Przysięgam na twoje siwe włosy, żem nie użył żadnego sposobu, któryby mię poniżał, dla zyskania serca tej nieocenionej kobiety. Świadcę się Bogiem i niebem, że sam nie wiem, jak się to stało. Rzadkośmy się z sobą widywali, ale już od pierwszej naszej rozmowy rozumiały się nasze serca, choć o miłości żadnej nie było wzmianki. Jestem tak próżnym, tak głupim, abym piął się tam, skądby mnie zepchnięto? Nie, mój ojczy! zanadto jestem dumnym w swojej uczciwej biedzie, aby mię uludził jej stan i majątek. Przyciągnął mię jej rozum, jej dusza prosta i otwarta, jej

szlachetność i te wysokie pojęcia o godności człowieka, przed którymi każdy, co ceni naturę ludzką, powinien ugiąć kolano. O! za to ją pokochałem całą myślą i sercem, i na tym to wysokim szczycie, mój ojcze, zbiegły się i objęły nasze dusze. Daje mu list Zofii. Czytaj to, ojcze! Słów tu niewiele; ale z nich osądzisz, czy zasługuję na twój gniew, czy mam prawo pysznić się mojem szczęściem.

Komornik czyta. „Drogi panie Antoni! Długom się wahała, czy uledez sercu, czy przynieść w ofierze światu i jego prawom nieprzezwyjęzone uczucia, które nas łączą. Wiem, że gdyby tego była potrzeba, zwyciężyłbyś się także, i dla mojego pokoju poświęciłbyś tę nieograniczoną miłość, w którą wierzę, jak w światło słońca i która jest dla mnie słońcem i życiem. Ale niema tego potrzeby. Wyższy rozumem, ukształceniem i zacnością duszy, zyskałbyś był niezawodnie szacunek i przyjaźń mojego ojca. Opierając się na tej świętej myśli, oddaję ci swą rękę, jak wprzód oddałam serce. Od tego postanowienia nic mię odwieść nie zdoła. — Twoja do śmierci — Zofia“. Młoda! szlachetna! wysoka dusza! — Masz szczęście, mój synu, że cię muszę tylko żałować, a nie mam powodu tobą pogardzać. Chowa list. Ja sam skończę tę rzecz tak, jak mi nakazuje sumienie i poczciwość.

Antoni Starośw. Mój ojcze! co czynić myślisz?

Komornik. Zakazuję ci pod błogosławieństwem, abys bez mojej wiedzy nie ważył się nic przedsiębrać.

Antoni Starośw. Ojcze! na miłość Boską! więcę będziesz miał odwagę rozedrzeć moje serce?

Komornik. Rozedrę. Twoje powołanie — praca. Chcę i tak być musi, abys był pierwszym między synami ekonomów, a nie ostatnim między panami. Wychodzi.

Antoni Starośw. sam. O! moje mary! O żelazny świecie! jak ostre, jak zimne twoje szpony! Wychodzi.

SCENA II.

Mieszkanie Arona Lewe. W środku otwarte drzwi, przez które widać za stołami siedzących i piszących żydów; słycać także brzęk srebra. Nad temi drzwiami napis: Kantor starozakonnego Arona Lewe. Przez boczne drzwi wchodzi *Aron*, umywa ręce przy drzwiach, i otarłszy je wiszącym tam ręcznikiem, postępuje ku wielkiemu krzesłu, które stoi z prawej strony, bliżej widzów. Siada i przysuwa przed siebie stolik, na którym biblia. *Aron*, żyd stary i poważny. Broda biała, kaftan atlasowy czarny, na wierzchu płaszcz takiegoż koloru, z taśmami szerokimi, przy końcu których złota frendzelka. Na głowie trójgraniasta ostro zakończona mała czapeczka z wązkim sobolem.

Aron. Szmul!

Szmul za sceną. Zaraz. Wychodzi, niosąc w ręku rozpieczętowane listy.

Aron. Nu, Szmul! co tam nowego?

Szmul kładzie przed nim trzy listy. Ci panowie nie płacą — proszą żeby poczekać.

Aron patrząc na podpisy. A procenty?

Szmul. Także nie płacą.

Aron oddaje mu listy, które ten odkłada na bok. Pozwać. — Nu, co więcej?

Szmul podaje mu list. Berko brodzki prosi sto tysięcy do kontraktów — daje dziesięć.

Aron oddając list. Dziesięć? Dać — Nu!

Szmul jak wyżej. Pan deputat chce pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pan deputat? On bankrut.

Szmul. Przysłał zakład, daje mu pudełko brylanty żony.

Aron woła. Monsie Hersz! Ten wchodzi. Ile to warte?

Monsie Hersz opatrzywszy. Trzydzieści — a jakby amator, trzydzieści pięć, sześć tysięcy, nie więcej. Oddaje i odchodzi.

Aron. Dać jemu piętnaście i dziesiąty procent odliczyć zaraz. — Więcej niema nic?

Szmul podaje list. Książę Karol kazał posłać do Warszawy dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Posłać zaraz.

Szmul jak wyżej. Pan graf Gustaw prosi, żeby wypłacić w Dubnie trzydzieści tysięcy — za miesiąc odeśle.

Aron. Wiem, że odeśle — wypłacić.

Szmul. Pyta, jaki procent za ten miesiąc?

Aron. Pół procentu — ja od jego ojca miałem więcej. — Nu!

Szmul zbiera listy. Już wszystko.

Aron. Już wszystko? to dobrze — idź. *Szmul* wychodzi. *Aron* bębni przez chwilę palcami po książce bm! bm! bm! potem zaczyna czytać, kiwać się i mruczeć. *Pani Szenionowa* wchodzi środkowymi drzwiami.

Pani Szenionowa we drzwiach. *Aron* w domu? A widzicie, że w domu. Przybliża się. Jak się masz, *Aronuniu*? Pewna byłam, że cię zastanę: bo to teraz taka pora — twoje żniwo, *Aronuniu*! — Ale cóż to czytasz? O! modlitwa i rachunki — jedno drugiemu nie przeszkadza. A jakże idą interesa?

Aron krzywiąc się. Nu! jak zawsze — chwalić Pana Boga, dobrze.

Pani Szenionowa. Wyobraź sobie, mój *Aronuniu*, że ja musiałam do ciebie przyjechać sama.

Aron. Widzę — niech pani siądzie.

Pani Szenionowa. Cóż powiesz na to, *Aronuniu*, że się ułatwiła z interesami moimi ślicznie.

Aron. Cóż mnie do tego?

Pani Szenionowa. Widzisz, mój *Aronuniu*, co — nie stało mi bagatelki. Już też będziesz tak grzeczny, że mi pożyczysz pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pięćdziesiąt tysięcy?

Pani Szenionowa. Napisać ci rewers?

Aron. Na co mnie rewers, kiedy ja nie dam!

Pani Szenionowa. Ale, jak cię kocham, *Aronuniu*, to pewne, jak amen w pacierzu. *Baron Izajewicz* dał mi słowo honoru, że mi da za miesiąc pięć-

dziesiąt tysięcy, tylko teraz nie miał pod ręką. Daj choć na miesiąc.

Aron. Nu, kiedy baron pani obiecał, to on pani da. Choć on wychrzta, ale on człowiek akuratywny i słowa dotrzyma. — A ja nie dam.

Pani Szenionowa. A, przyznam się, nie spodziewałam się tego po tobie, panie Aronie! Żebyś widział za granicą ludzi twojego powołania, jacy grzeczni, jacy gotowi usłużyć, jak lubią obliżować!

Aron. To niech pani jedzie za granicę, może oni panią zobligują — a co ja, to nie.

Pani Szenionowa. Pamiętam właśnie, kiedyś była w Frankfurcie nad Menem...

Aron. Nu, co to jest? Co mnie do tego, co pani pamięta, a czego pani nie pamięta? — Ja nie mam czasu.

Pani Szenionowa. To każże mi przynajmniej wypłacić ten weksel na dwa tysiące rubli asygacyjnych.

Aron obejrząwszy weksel. Szmul!

Szmul za sceną. Zaraz. — Wchodzi.

Aron podaje mu weksel. Wypłacić.

Szmul. Niech pani pójdzie zemną. Wychodzi.

Pani Szenionowa. Rzecz dziwna, jak teraz kredyt upadł. Żleś się popisał, panie Aronie! Powiem o tem wszystkim, jak cię kocham. Wychodzi.

Aron za wychodzącą. Co mi tam! to sobie pani gadaj — at! Zaczyna znowu bębnić, potem po chwili czytać, kiwać się i mrużyć. *Hrabia* wchodzi.

Hrabia. Cóż to jest, Aronie? Zapominasz, widzę, żeś powstał z tutejszych obywateli, a teraz obchodzisz się z nimi nie wiedzieć po jakiemu.

Aron. Nu?

Hrabia. Już to się nie godzi, prawdziwie! Gdybym nie uważał na twój wiek, to doprawdy gniewałbym się na ciebie.

Aron. Jaktó?

Hrabia. Tylko co spotkałem moją siostrę. Powiedz, miałeś ty sumienie nie służyć jej w takiej małej rzeczy? Wstydź się, stary! Czy to u niej ewikcyja niepewna?

Aron. At! jaka tam ewikcyja!

Hrabia siada. Ale możemy się przeprosić, tylko pod pewnym warunkiem. Nie chciałeś jej dać pięćdziesiąt tysięcy, to jużci mnie przynajmniej dasz sto. Pilno mi potrzeba.

Aron. Nie dam.

Hrabia bierze go za rękę i ściska. No, Aronie, dasz, dasz. Ja wiem, że u ciebie pierwsze słowo na języku: nie — a potem, jak rozmyślisz...

Aron. Co tu rozmyślać? Masz pan graf co założyć? to dam; nie masz pan, to nie dam. Pan wszystko swoje przemarnował, przegrał w karty, przefacyendował, przejadł i przejeździł za granicą; pan imości majątek pozostawiał; pan księżniczki majątek zniszczył; a teraz pan jeszcze chcesz pieniędzy? Dlaczego ja mam dawać panu pieniędzy? czy dlatego, że pan graf? — a mnie co do tego?

Hrabia. Więc nie mam u ciebie kredytu? ja?

Aron. Nie.

Hrabia. Niechże cię Pan Bóg sekunduje. Na Jabłonówkę dasz sto tysięcy?

Aron. A wiele ona warta?

Hrabia. Sto pięćdziesiąt dusz, pola dużo, młyny, woda, las.

Aron. To ostatnia wieś u pani hrabiny nie założona.

Hrabia. A cóż robić, kiedyś taki uparty?

Aron. Nie brać.

Hrabia. Nie można — zarzynają.

Aron. Siedmdziesiąt dam i.. i dziesiąty procent z góry.

Hrabia. Maszże ty sumienie?

Aron. At! co nam gadać o sumieniu? Wreszcie to dla pana grafa lepiej. Jak pan graf mniej weźmiesz, to pan mniej stracisz, a jak pan mniej stracisz a potem przedadzą wieś z publicznej licytacji, to więcej się panu zostanie.

Hrabia. Cóż ty myślisz? że ja nie zapłacę!

Aron. Myślę. I jak pan graf możesz zapłacić, kiedy panu trzeba co roku pięćdziesiąt sześć tysięcy do banku, trzydzieści dwa tysięcy samego procentu za długi prywatne? A teraz pan graf potrzebujesz żyć jak pan, a w karty grać, a bale dać; a imość także potrzebuje wiele; a wszystkiego masz pan dziewięćdziesiąt, sto, a na dobry rok sto piętnaście tysięcy dochodu. Skądże tu zapłacić?

Hrabia. Jakże ty to wiesz?

Aron. Jak to ja wiem? U mnie zapisana stoi każdego sytuacja, i długi i dochody, i jaki on, i wiele waży jego słowo.

Hrabia. Więc u ciebie i słowo honoru idzie na wagę?

Aron. A jakże? bo innego pana słowo honoru waży grosz, a innego waży dziesięć wsi ze wszystkimi remanentami.

Hrabia. Więc z tobą niema co rzeczy obwijać w bawełnę?

Aron. Na co tu bawełna, kiedy ja wszystko wiem?

Hrabia. Ustąpże dwa procenta.

Aron. Nie.

Hrabia. Wieszże, w jakim stanie moje interesa?

Aron. A mnie co do tego?

Hrabia powstaje. Niechże cię!... dawaj!

Aron. Szum!

Szum za sceną. Zaraz. Wchodzi.

Aron daje mu papiery. Siedmdziesiąt tysięcy — zakładna — dziesiąty procent z góry.

Prezes wchodzi. Jak się masz, panie Aronie? A! pan hrabia! przepraszam, żem nie miał jeszcze czasu być u pana hrabiego i złożyć uszanowania hrabinie. Interesa, panie hrabio, to klęska! —

Aron czyta.

Hrabia. Panie prezesie! czy i ty w interesach?

Prezes. Jak Boga kocham, panie hrabio!...

Hrabia. Czy nie pieniędzy pożyczać?

Prezes. Cóż robić? nie sprzedajemy nic — jesteśmy w rękach żydów, i robią z nami co chcą.

Hrabia. Kochany prezesie! na obiadek do mnie dzisiaj — proszę cię.

Prezes. Z ukontentowaniem, panie hrabio!

Hrabia. Mój prezesie! daj mi też na parę tygodni dwadzieścia tysięcy.

Prezes. Panie hrabio! majątek jest, styrtki stoją, jak okręty w porcie; ale gotowizny, jak Boga kocham, nie mam — dowód, że tu przychodzę.

Aron bijąc po książce. Bm! bm! bm!

Prezes bierze jego rękę obiema rękami i ścisną. To, to Rotszyld.

Aron uśmiechając się. At!

Hrabia do Szmula. Cóż? dajecie pieniądze?

Szum. Proszę pana grafa z sobą. Trzeba rozpatrzyć papiery.

Hrabia. No, rozpatruj! Do widzenia, prezesie!

Prezes. Będę służył. *Hrabia* wychodzi. *Prezes* siada. Kilka słów tylko, *Aronie!* bo nie mam czasu. Przysuwa się. *Aronie!* tyś człowiek, jakich ja szacuję. Wiesz, jaka myśl mi przyszła? Możemy zrobić dobry interes. Przysuwa się. Daj rękę, *Aronie,* i działajmy w spółce.

Aron cofając rękę. Ja spółki nie lubię. Jak byłem biedny, to starałem się sam; a teraz, kiedym bogaty, to moje kapitały same się starają.

Prezes. Ja to wiem, kochany *Aronie!* i ja, dzięki Bogu, nie jestem ubogi.

Aron. A czego pan prezes chce?

Prezes. Jużci nie pożyczyć. Oto: chcę ci oddać w obrót trzykroć, które mam teraz pod ręką. Suma piękna!

Aron. Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze.

Prezes. Widzisz, *Aronie,* ludzie wiedzą, że mam kapitały, i leżą do mnie, szczególniejszej ekspansowie, których ja się boję jak ognia.

Aron. Jest jeszcze wielu panów poczciwych i bogatych; czemu pan prezes im nie odda?

Prezes. Ci nie potrzebują! a choć potrzebują, widzisz, *Aronie,* stosunki obywatelskie. Jakoś to nieładnie wziąć od nich więcej jak pięć od sta. Przysuwa się. A cóż to za procent, pięć? Wiesz co, *Aronie?* weź moje trzykroć! Ty bierzesz po dwadzieścia, a mnie daj piętnaście. Zawsze pięć od sta masz w zysku za nic.

Aron. Jakto za nic? a ryzyk? a kłopot? — Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze. Jeśli pan prezes chce, i to żeby panu prezesowi dogodzić, pięć procentów dam.

Prezes wstaje. To nie zrobimy interesu. Dzie sięć dasz.

Aron. Pięć.

Prezes. Dziewięć dasz?

Aron. Pięć.

Prezes. Tyś żyd, *Aronie!*

Aron podnosi głowę. Ja żyd? — nu, cóż to złego, że ja żyd, kiedym się urodził żydem? Ja

żyd, bo nie chcę dać więcej, jak pięć od sta; a jak się nazywa ten, kto chce wziąć piętnaście? Żyd lubi pieniądze. Prawda, że on lubi pieniądze, bo żyd bez pieniędzy nie człowiek. Jeśli żyd ma milion, to jego każdy zna, każdy się ukloni, to do niego i książkę list napisze, i pan graf za rękę ściska, i jaśnie wielmożny pan powie: kochany Aronie, ja ciebie szacuję! Jeśli żyd nie ma pieniędzy, to on stoi za drzwiami, póki jego nie wypchną; biega cały dzień za złotówkę po kolana w błocie; jego łajają jak psa, jego biją jak psa, na niego plują, jak na psa plują. I za to, że on kocha pieniądze, bo musi kochać, to jego nazywać żydem? A jak nazwać takiego, co ma honory, co ma urzędy, co ma ziemię, któremu nikt nie śmie słowa powiedzieć, na którego nikt nie śmie palca zakrzywić, a przecie on kocha pieniądze więcej, jak brata i siostrę? Kiedy do mnie przychodzi bankrut i prosi pieniędzy, to ja nie mówię, że nie mam, a mówię, że nie dam — i ja żyd; a jak się nazywa ten, co mówi, jak Boga kocham nie mam, a trzykroć oddaje żydowi na piętnasty procent? Niech pan prezes sobie idzie; ja z panem prezesem nie chcę mieć żadnego interesu. Ja żyd, a pan sobie jaśnie wielmożny pan.

Prezes. Ośm dasz?

Aron. Nie dam. Zaczyna czytać, kiwać się i mruzczyć.

Prezes. I siedm nie dasz? Aron nie odpowiada.

Prezes do siebie. Szelma żyd, jak skała. Wychodzi. Aron czyta. Po chwili wchodzi komornik.

Komornik we drzwiach. Nie przeszkodzę ci, panie Aronie?

Aron. Kto tam? Aj! aj! co ja widzę? pan komornik!

Komornik przystępuje. Jak się masz, panie Aronie? Dawnośmy się nie widzieli.

Aron. Kopa lat! kopa lat! panie komorniku! Nu! siadźże jegomość tu — ot tu koło mnie. Bierze jego rękę. A można to było tak ze wszystkim zapomnieć starego Arona? Patrz jegomość, co to się przez ten czas zrobiło!... I jegomość posiwiął, jak gołąb, i u mnie broda już biała, jak mleko.

Komornik. Jak srebro, panie Aronie, którego masz podostatkiem.

Aron. Nu, chwalić Boga, jest dużo. Ale cóż to pana komornika do mnie sprowadza? Czy nie jaka bieda? Boże uchowaj!

Komornik. Bieda, panie Aronie, i wielka bieda!

Aron. Aj! aj!

Komornik. Spaliłem się, panie Aronie.

Aron. Aj! aj! aj!

Komornik. A co gorsza, obdarli mię, ocenili szkodę we troje, i całą moją chudobę sprzedawać chcą z publicznej licytacji.

Aron. Aj! aj! aj! Może panu komornikowi potrzeba pieniędzy?

Komornik. Panie Aronie! ze strachem szedłem

do ciebie. Potrzeba mi dwanaście tysięcy. Weź w zakład skrypt prezesa, u którego mam piętnaście, ale mi ich nie chce oddać, bo termin dopiero za pięć miesięcy.

Aron. Nu, widzi pan komornik! dlaczego pan komornik do niego chodził, a nie przyszedł prosto do mnie? Czy dlatego, że Aron teraz bogaty, to pan komornik myślał, że on zapomniał, jak był w nieszczęściu i że pan komornik jemu dobrze zrobił? To nieładnie, panie komorniku! Aron nie taki. Pan komornik pamięta, jak ja trzymałem wszystkie młyny u nieboszczyka podczaszego, i kiedy mnie spaliły się młyny i tartaki na 60 tysięcy, to co pan komornik wtenczas zrobił?

Komornik. Wiedziałem, żeś akuraty, panie Aronie! Toby każdy zrobił na mojem miejscu, byle pan był tak szlachetny, jak nieboszczyk podczaszy.

Aron. Ni, panie komorniku! tegoby drugi nie zrobił — dla żyda. A pan komornik za mnie się poręczył; a pan komornik wyprosił u pana podczaszego, że mi rozłożył szkodę na trzy lata i spuścił z arendy dziesięć tysięcy; i pan komornik nie chciał odemnie wziąć ani grosza podarunku; i pan komornik myślał, że ja to wszystko zapomniał? Aj! aj! to nieładnie! panie komorniku!

Komornik. Darujże mi, Aronie, i pomóż!

Aron. Nu, nie gniewam się. — Weź jegomości

sobie ten skrypt nazad. Ja jegomości dam dwanaście tysięcy na prosty weksel. U mnie jegomości słowo więcej warte.

Komornik. Dziękuję ci, panie Aronie! — a jakiż procent naznaczysz?

Aron. At! co tam! czy to taka wielka suma? — Dla jegomości ja naznaczam tylko osmy procent.

Komornik. Przyjmuje, przyjmuje, panie Aronie! Tylko każ mi wypłacić zaraz, bo mi tam opieczętowali dom, i biedna żona siedzi w pustym pokoju, niema kawałka chleba.

Aron. Aj! aj! Nu, wiesz jegomość co? ja jegomości jeszcze jeden procent spuszczam.

Komornik. Dobry panie Aronie!

Aron wstaje. Chodź jegomość zemną. Ja jegomości zaraz każę odliczyć asygnatami, żeby jegomości nie ciężko było nosić. Zatrzymuje się przy drzwiach kantoru i bierze jego rękę. Panie komorniku! a pamiętasz jegomość, coś mi jegomość powiedział, kiedy ja przyszedłem prosić ratunku u jegomości w mojej biedzie?

Komornik. Doprawdy nie pamiętam, panie Aronie!

Aron. A widzisz jegomość, a ja pamiętam. Jegomość powiedział tak: Mnie ciebie żal, Aronie! boś ty poczciwy człowiek, choć ty żyd. Nu, otóż ja jegomości jeszcze pół procentu spuszczam. Wychodzą.

S C E N A III.

Pokój Zofii.

Zofia we drzwiach. Proś, proś pana komornika. To dla mnie drogi, szanowny gość. Wkrótce może — Ach! czemuż ja nie jestem tak szczęśliwą i spokojną, jakbym być powinna? Komornik wchodzi i kłania się z uszanowaniem.

Komornik. Jaśnie oświecona pani, racz mi darować moje śmiałość. Mój wiek niech mię wymówi, i rzecz, z którą przychodzę.

Zofia. Panie komorniku! raz tylko miałam sposobność widzieć cię i słyszeć, ale ten raz był dostateczny do zjednania ci mego szacunku na zawsze.

Komornik. Jaśnie oświecona pani! i ja nie zapomnę nigdy tej chwili. Ze łzami w oczach i z wdzięcznością w duszy o niej wspominał. Jako dowód tej nieograniczonej czci dla ciebie, jako dowód uszanowania, jakie mam dla twojego rodu i stanu, ze zbolałem sercem, przynoszę ci nazad i składam w ręce twoje ten znak twej łaski dla mego syna, który z niej korzystać nie może i nie powinien. Oddaje jej list.

Zofia zbladła i drżąca siada i bierze list. Panie komorniku! czy mnie sądzisz niegodną ręki twojego syna?

Komornik. O aniele dobroci! ja sądzę syna mego niegodnym ręki twojej. Ufam mojemu Bogu, że sercem i duszą podniósłby się może do tej wysokości, na której ty stoisz! Ale tego ma-

to, księżniczko! — Czujesz to sama; i ja nie pobłogosławię nigdy temu związkowi, któremu twój ojciec pewno nie pobłogosławił.

Zofia załamawszy ręce podnosi oczy w górę. O Boże mój!

Komornik. Twój pradziadowie, księżniczko, byli bohaterami narodu; kiedy twój dziad podnosił głos swój w senacie, wszyscy go z uszanowaniem słuchali; na czole twego ojca była ta godność, którą daje krew, wysoki rozum i pamięć na cnoty przodków. I jabym pozwolił, aby moja krew mieszała się z twoją? aby moje nieznanne imię, jak kir żalobny, pokrywało świetność twojego? Nie, nigdy! Gdybyś była ubogą dziewczyną, gdybyś była chłopką, a miała takie serce i duszę, jaką cię Bóg obdarzył, o! z jaką dumą nazwałbym cię córką! z jaką rozkoszą przycisnąłbym cię do swych piersi! — A teraz, księżniczko, pozwól mnie staremu upaść do nóg twoich. Kłęk. Daruj mi, żem może zranił twoje serce; alem ja także rozdarł duszę i tego nie-szczęśliwego chłopca, który śmiał o tobie pomyśleć!

Zofia słabym głosem. Wstań, wstań, panie komorniku! Może mi niebo da dosyć siły poświęcić szczęście całego życia pamiątkom przeszłości. Boleść moja będzie wielka, ale, Bóg mi świadkiem, ciebie o nią obwiniać nie będę.

Komornik. A ja umrę spokojny; śmiało stanę tam, przed twoim ojcem, i powiem mu, jaką mu Bóg

dał córkę. Zofia płacząc użuca się w jego objęcia; po chwili wyrzywa się i wychodzi. Komornik składa ręce i podnosi oczy do góry. Po chwili. Świąć się Imię Twoje! Bądź wola Twoja! Wychodzi.

SCENA IV. i OSTATNIA.

Pokój hrabiny, którego okna w bocznych kulisach otwarte na ulicę. Środkowe drzwi otwarte; widać w głębi salę jadalną, a w niej siedzących za stołem. Jeden lokaj wchodzi, rozstawia stoliki do gry i kładzie karty, drugi ściera i zmiata kurzawę.

Żydek na ulicy. Zimna woda z lodem! zimna woda z lodem!

Pierwszy lokaj. Parchy krzykliwe! — Prę-dzej, Janie! zaraz wstaną od stołu.

Żyd zagląda przez okno. Tiutiunu tureckiego przedniego, fajek, stambułek, rarytnych antypków!

Lokaj. Idź do dyabła! — nie potrzeba. Żydek odchodzi.

Drugi lokaj. Jak od psów, od tych bestyów trzeba się opędzać.

Drugi żydek zagląda przez okno. Panowie! różnych drobiazgów!

Lokaj. Nie potrzeba.

Trzeci żydek. Panowie! halsztuki, kamizelki, szlejki, nożyczki, rękawiczki, lak!

Lokaj uderza go serwetą. A nie pójdziesz ty!

Żydek. Nu, za co że zabijać!! co to jest? Odchodzi.

Drugi lokaj. Zamknij okno — już wstają.

W sali wstają od stołu i wchodzą: hrabia prowadzi jakąś damę, młody elegant panią Szenionową; prezes hrabinę, jeszcze dwie pary, kilku młodych; na końcu idzie Pazurkiewicz i staje przy drzwiach. Jedni siadają, inni chodzą i grupują się rozmaicie.

Hrabia. Dawajcie kawę! Do wchodzącego z kawą kamerdynera. Obnoś prę-dzej.

Hrabina biorąc swoją filiżankę. Zakadzić.

Hrabia rozrywa karty. A co, panowie? żeby nie tracić czasu! — Panie prezesie! panie Leopoldzie! Józiu! chodźcież. — Ciszej do zbliżających się. Co? może dyabełka?

Pierwszy młody. Z ochotą.

Drugi. Nie taki dyabeł straszny, jak go malują.

Pani Szenionowa Do swego partnera. Ja cię tam nie puszcze. Siadajmy razem, cher comte! Wiska. Ale uprzedzam cię, że zaglądam w karty. — Pamiętam, raz u pani kasztelanowej Połanieckiej...

Hrabia. Mój Hipolicie! nie słuchajże ty tych andronów, a siadaj lepiej z nami.

Prezes. Ja pani także służę do wiska. — Ale gdzież to księżniczka Zofia, że i u stołu nie była?

Pani Szenionowa. Chora biedaczka.

Prezes. Jaka szkoda! — Prawdaż to, że baron wyjechał za granicę?

Pani Szenionowa. Wyobraź sobie, co za szczególny pociąg! — znowu do Brodów. Śmieje się. Ale, ale, prezesie, słówko! Odprowadza go na bok. Czy wiesz, mój prezesie, że to dla ciebie partya? —

jak cię kocham — pomówimy o tem. — Bądź u mnie jutro! Prezes kłania się.

Hrabia przy stoliku, uderzając kartą po palcach. Czas, czas, moi państwo, rzecz najdroższa w świecie, a idzie marnie. Siadają przy dwóch stolikach.

Dama. Była pani hrabina u Szafnagla?

Hrabina. Ma rzeczy gustu wytwornego.

Dama. Ach! u niego wszystko takie drogie!

Hrabina. Ja nie znajduję. Patrz pani deputatowa — to jego rachunek. Daje jej rachunek. Dama czyta, kiwa głową; potem rozmawiają.

Druga dama do mężczyzny obok stojącego. Nie byłeś pan u Goldberga? czy ma co nowego?

Pierwszy mężczyzna głaszcząc brodę. Pustki, pani dobrodziejko! — Konie są piękne i niedrogie. — Sto dukatów dawałem...

Inny mężczyzna bierze go pod rękę. A cóż? czekamy.

Pierwszy mężczyzna. Pardon, madame! Idą do dyabełka.

Kamerdyner anonsuje. Pan Antoni Staroświecki.

Kilka głosów. Kto? kto?

Hrabina. Powiedz, mój kochany.. Wchodzi Antoni Staroświecki, blady, zmieniony, w surducie — kamerdyner chce go zatrzymać, on go odtrąca.

Antoni Starośw. Idź precz! Ja tu nie z wizytą przychodzę, ale z interesem. Zwraca oczy ku miejscu, gdzie damy.

Hrabia za stołem. Panie Pazurkiewicz! poproś asan jegomości z sobą i tam ułatwicie interes.

Antoni Starośw. Mój interes nie do niego, ale do pana, panie hrabio!

Hrabia. Nie mam czasu ułatwiać interesów. — Idź asan sobie.

Antoni Starośw. Bez wątpienia, dyabełek przede wszystkim.

Hrabia wstaje. Wszyscy ruszają się i różne sobie, dają znaki. Słuchajno, panie komornikiewicz! idź sobie — albo...

Antoni Starośw. z uśmiechem. Albo co? Każesz mię pan wypchnąć za drzwi? Seryo. Panie hrabio! tego pan nie rób, bobyś mógł nie skończyć tej partyi; a szkodaby — pula wielka! — Mój interes krótki, i damy przebaczą, że się nim zajmujemy na chwilę.

Hrabina. Mais, c'est un fou!

Antoni Starośw. Panie hrabio! z twojej łaski moja matka już kilkanaście dni siedzi w pustym pokoju i płacze. Rzuca na stół pakiet asygnat. Oto twoje pieniądze, panie hrabio! każ je natychmiast przełiczyć i dać mi zakwitowanie, abym z niem pośpieszył do sądu, aby nam odpieczętowano dom, aby odpieczętowano spiżarnią — bo moja matka głodna. Goście dają sobie rozmaite znaki.

Hrabia. Panie Pazurkiewicz! weź asan te pieniądze i daj mu zakwitowanie.

Pazurk. Dobrze, jaśnie wielmożny panie! — Proszę pana z sobą.

Antoni Starośw. Tu, natychmiast proszę liczyć —

mnie pilno. A przytem chcę mieć świadków, że pieniądze wszystkie.

Hrabia z gniewem. Licz asan prędzej.

Jeden z gości. Zabawna awantura!

Antoni Starośw. Dlaczegoż ci panowie odstąpili przyjaciela dyabełka? — To nie przeszkadza. — Siadajcie panowie — czas drogi.

Prezes. Waryat!

Hrabia do Pazurkiewicza. Cóż? wszystko?

Pazurk. oddaje mu pakiet. Szesnaście tysięcy.

Antoni Starośw. Kwit! kwit prędzej! — Pazurkiewicz wychodzi.

Hrabia. Panie Staroświecki! widzę, żeś chory, i dlatego mogę ci wybaczyć te impertynencye, które robisz w moim domu. Słyszałem wiele o twoim rozumie. Ale, wierz mi, nie dowodzi to rozumu, kiedy się kto wyzuwa ze wszelkich względów, jakie się należą ludziom i ich stanowi.

Antoni Starośw. Są tacy, panie hrabio, którzy sami ścierają ze swego czoła święty chrzest przeszłości. Sobie niech przypiszą, jeśli ich kto traktuje tak, jak zasługują. — Ja nie wyzułem się ze względów, jakie się należą pochodzeniu i krwi, jeśli starożytną tarczę rodu utrzymuje cnota, a oświeca rozum. Że zaś szanuję prawa i przedziały, jakie społeczność porobiła między ludźmi, masz dowód, panie hrabio, w tej bladej twarzy, którą widzisz, i w tej rozpacz, której nie widzisz i nie pojmujesz. Boczniemi drzwiami wchodzi Zofia blada

i zapłakana. Antoni Staroświecki odchodzi na bok, i patrząc na nią boleśnie, mówi O Boże! jak ona wygląda!

Hrabia. Co to jest?!

Pani Szenionowa. Zosia! jak zmieniona! — Zosiu, co tobie?

Zofia. Nic mi, nic, ciociu kochana!

Pani Szenionowa. Tyś chora! — po cóżeś wyszła? — idź połóż się!

Zofia. Usłyszałam tu głos, który mię wywołał. Pogląda na Antoniego Staroświeckiego, i odwracając się. Ach! jaki on blade!

Pani Szenionowa. Ale kompromitujesz się, Zosiu!

Zofia z uśmiechem. Hm! nie rozumiem cię, ciociu, i ty mnie nie rozumiesz. — Kochany wuju! Oto jest zakwitowanie ze wszystkich pretensyi i rachunków opieki nad moim majątkiem. Nie jestem jeszcze wprawdzie pełnoletnią — ale ja za męża pójść nie mogę — i nie pójdę. Może ci się ten dokument przydać w swoim czasie. Wtenczas także położysz i datę, której tam niema. Mam zamiar, kochany wuju, mieszkać w Dębowie, gdzie mieszkał i umarł mój ojciec. Pozwól mi to, kochany wuju, i pozwól także, aby jedna tylko Bleszyńska mieszkała tam zemną. Ona mi przez czas mego sieroctwa zastępowała miejsce matki, i teraz mi potrzebna jej opieka. Daje mu papier. Weź to, mój wuju, i każ mi przygotować powóz — chciałabym wyjechać dziś jeszcze.

Hrabia biorąc papier. Ale dlaczegoż to? — Ale cóż to wszystko znaczy, moja Zosiu?

Antoni Starośw. przystępuje. Co to znaczy, to ja wam powiem, moi państwo! — Oto ja, syn biednego szlachcica, zrządzeniem Opatrzności zyskałem serce i miłość tej pani. Ona mi ofiarowała swą rękę; i ja, przez wzgląd na jej imię, przez uszanowanie jej rodu, nie przyjąłem jej. — Czy pojmujecie to? — Dziwujcież się teraz, sądzie, śmiejcie się! — Tyle wam powiedziałem. — Reszta nie dla was. Do zofii. Zofio! czy ty wierzysz, że pokój całego życia mojego zniszczony? że na cierniowej drodze, która mię czeka, twój tylko obraz przyświecać mi będzie? że nie będzie ani jednej myśli w moich dumaniach, ani jednego marzenia w snach moich, któregobyś nie była treścią, celem, duszą? Wierzyszże, Zofio?

Zofia. Wierzę w twoją miłość, mój drogi! — szanuję twoje powody — ale Bóg widzi, ile mię to kosztować będzie.

Antoni Starośw. O! ta ofiara będzie naszą zasługą, tam — a tu, moja Zofio, ostatni raz się widzimy.

Zofia podaje mu rękę. Ostatni, mój jedyny! On kłeka i całuje jej rękę. Przytomni z rozmaitym wyrazem twarzy przypatrują się. Kurtyna zapada.

8 WRZ 1949

26 200-

**KSIĘGARNIA
WILHELMA ZUKERKANDLA w Złoczowie**

poleca wydane w Bibliotece powszechnej
**CHARAKTERYSTYKI LITERACKIE
PISARZÓW POLSKICH:**

- I. Słowacki przez M. Mazanowskiego (Nr. 198/195)
- II. Mickiewicz przez A. Mazanowskiego (Nr. 207/209)
- III. Krasiński przez M. Mazanowskiego (Nr. 221/222)
- IV. Małozeski przez M. Mazanowskiego (Nr. 227)
- V. Ujejski przez A. Mazanowskiego (Nr. 234)
- VI. Kochanowski przez A. Mazanowskiego (Nr. 237/238)
- VII. Fredro przez M. Mazanowskiego (Nr. 316)
- VIII. Krasiński przez A. Mazanowskiego (Nr. 340/341)
- IX. Sienkiewicz przez Chmielowskiego (Nr. 427/428)
- X. Brodziński przez Chmielowskiego (Nr. 431/432)
- XI. Najnowsza poezya polska przez Dra M. Janika
(Nr. 445/446)
- XII. Bohdan Zaleski przez Zdziarskiego (Nr. 485/486)
- XIII. Kasprowiec przez A. Stodora (Nr. 511)
- XIV. Rej przez Dra M. Janika (Nr. 521/523)
- XV. Kraszewski przez M. Mazanowskiego (Nr. 531/533)
- XVI. Wyspiański przez A. Mazanowskiego (Nr. 602/603)
- XVII. Literatura polska syberyjska przez Dra Michała
Janika (Nr. 622/623)
- XVIII. Seweryn Goszczyński przez M. Mazanowskiego
(Nr. 651/652)
- XIX. Kazim. Przerwa-Tetmajer przez A. Mazanowskiego
(Nr. 832/833)
- XX. Marya Konopnicka przez A. Mazanowskiego
(Nr. 871/874)